

Archiwum Misyjne
Karmelitów Bosych

Biuletyn misyjny

Nr 18

MISJE KARMELITAŃSKIE

**Biuletyn informacyjny o dziele Misji zagranicznych Polskiej Prowincji
Zakonu Karmelitów Bosych**

styczeń – marzec 1979

Kraków ul. Rakowicka 18

SPIS TREŚCI:

Dzwon Zygmuncie, dzwon- wiersz

Kościół Katolicki na świecie

Nasza „Misyjna poczta”

Konferencja P. O. Teofila wygłoszona w parafii Truskolasy

O. Bronisław Tarka – Moja podróż do Burundi w Afryce

Kronika Misyjna

Safari w Kiguhu – Wyjazdy duszpasterskie na stacje pomocnicze

Safari w Nunga – Wyjątki z „pamiętnika” O. Bartłomieja Kurzyńca

Wdzięczność Burundi dla swoich ofiarodawców

List Burundyjczyków do Konsula Szwajcarii – Musongati 18.12.1978

Przemówienie Konsula Szwajcarskiego z okazji położenia kamienia węgielnego pod budowę Centrum Zdrowia w Musongati

Kazanie O. Teofila wygłoszone w dniu obłóczyn Brata Cyryla w Mpindze 17.12.1978

Przemówienie Brata Cyryla od Dzieciątka Jezus w dniu 17.12.1978

Listy Misjonarzy

List O. Nazariusza Kwiatkowskiego do Przyjaciół – Mpinga 11.03.1978

List O. Bartłomieja Kurzyńca do Rodziców i Siostry – Mpinga – Nunga 15.10.1978

List O. Eliasza Trybały – Mpinga 29.12.1978

List O. Teofila Kapusty do Przyjaciół – Mpinga 2.01.1979

DZWOŃ ZYGMUNCIE, DZWOŃ NAJGŁOŚNIEJ...

Dzwoń Zyguncie, dzwoń najgłośniej

Obwieść radość wszemu światu,

Że na Tronie zasiadł w Rzymie

Jeden z braci nas Polaków.

Był to wieczór najwspanialszy

Godny chwały wywyższenia.

Serca nasze Cię witały

Z łzami w oczach i wzruszenia.

A co czuleś w swoim sercu –

Nikt z najbliższych się nie dowie.

Może tęsknisz razem z nami

Może sen Ci spędza z powiek.

Ogrom trosk, które spoczęły

Na Twych barkach, nasz Krajanie

Jedno można by powiedzieć –

Niech się wola Twoja stanie.

O Najwyższy Stwórco świata

Coś powołał na pasterza
Chłopca z naszych pól i lasów
Co do Ciebie krocząc zmierza.
Góry swoim majestatem
Mgłami ścieżki swe pokryły
Jakby chciały cicho szeptać:
Stopy Twoje tutaj były...
Niegdyś chodził i podziwiał
Piękno dolin i potoków,
Napawając duszę wzrokiem
Przepotężnych ich urokiem.
Dzwoń Zyguncie nad Krakowem
Radość u Was nich zagości,
Nie skrywajcie z Waszych twarzy
Łez wzruszenia i radości.
Zapewniamy Cię o Ojczy
Mimo wielkich odległości
O modlitwach, posłuszeństwie,
Niechaj pokój w świecie gości.
By niósł radość wszemu światu
Chorym, słabym – pocieszenia
I prowadził całą ludzkość
Poprzez ciernie – do zbawienia.
Dzwoń Zyguncie... dzwoń...!!!

Lublin, grudzień 1978 r. -Lublinianka

KOŚCIÓŁ KATOLICKI NA ŚWIECIE

Ameryka Południowa i Północna

Ilość mieszkańców	575.846.000	
„ katolików	341.290.000	60%
„ kapłanów	115.039	
„ katolików na jednego kapłana	2.095	
„ mieszkańców	5.000	

Europa

Ilość mieszkańców	673.128.000	
„ katolików	261.924.000	40%
„ kapłanów	244.271	
„ katolików na jednego kapłana	1.073	
„ mieszkańców	2.720	

Afryka

Ilość mieszkańców	410.957.000	
„ katolików	48.528.000	10%
„ ilość kapłanów	15.978	
„ katolików na jednego kapłana	3.200	
„ mieszkańców	27.333	

Azja

Ilość mieszkańców	2.331.291.000	
„ katolików	52.589.000	2,3%
„ kapłanów	24.092	
„ katolików na jednego kapłana	2.167	
„ mieszkańców	95.833	

Oceania

Ilość mieszkańców	21.094.000	
„ katolików	5.227.000	24%
„ kapłanów	5.403	
„ katolików na jednego kapłana	926	
„ mieszkańców	3.888	

Religie na świecie

Katolicy	710.000.000
Protestanci	355.000.000
Prawosławni	150.000.000
Muzułmanie	550.000.000
Hinduiści	520.000.000
Buddyści	290.000.000
Konfucjusze	300.000.000
Szintości	75.000.000
Taoiści	50.000.000
Żydzi	16.000.000
Inne religie i niewierzący	996.316.000

	4.012.316.000

Kapłanów na świecie - 404.783

Wg „Echa z Afryki” 1979r.

Nasza „misyjna poczta”

Korespondencja misyjna obecnie staje się bardzo obfita. Przepraszamy za to, iż niejednokrotnie trzeba czekać na odpowiedź.

Oto kilka fragmentów z listów, w których korespondenci zapewniają o stałej łączności z naszymi misjonarzami.

„...Kontakt z misjami sprawia mi ogromną radość. Wieloletnia znajomość z O. Teofilem sprawiła, że sprawy misji są mi bardzo bliskie. W tej to intencji modłę się i oddaję Panu wszystkie trudy, jakie mi przed wielu laty „zadał” przez chorobę – paraliż dziecięcy. Od wielu lat żyję „na kółkach”, czyli na wózku inwalidzkim, ucząc się, pracując i chwając Pana za ŻYCIE, za łaskę współdziałania z Chrystusem unieruchomionym, kochającym i zbawiającym świat...”.

B. L. z Poznania – 1 stycznia 1979

„...o Waszych misjach dowiedziałam się z artykułu Ks. Bonieckiego w Tygodniku Powszechnym. Przyjechałam jako repatriantka z Wilna do Piły i pracowałam tu jako polonistka do 1970 roku. Mam obecnie 81 lat, chciałabym na coś się przydać, służąc innym w Imię Chrystusa... proszę o wskazówki...”

K. Sz. Piła – 5 stycznia 1979

Drogie Panie! Bardzo serdecznie dziękuję w imieniu misjonarzy, którzy oddając Bogu swoje siły, zdrowie, zdolności – wszystko – liczą tak bardzo na taką właśnie pomoc. Przede wszystkim to przez modlitwę i cierpienie zbawia się świat. Wytrwale oddajcie Bogu wszystko co każdego dnia na Was ześle – to jest najwspanialsza pomoc misjonarzom.

Niech Bóg dodaje sił w znoszeniu wszystkiego, co na Was ześle.

„... Piszę ten list i łzy mi zalewają oczy z radości i miłości do misjonarzy w Burundi. Jestem już starą, schorowaną kobietą, 76-letnią. Ucieszyłam się bardzo fotografiami naszych misjonarzy. Szczególnie ze zdjęcia S. Zygmunty, która tak bardzo wiele czyni dla chorych i głodnych w Burundi. Tak mi jest żal, że tak długo nic nie wiedziałam o misjach. Zawsze myślałam, że na świecie są biedni i głodni, każdy kawałek chleba zbierałam z ulicy – którzy porzucili ludzkie najedzeni i przepraszałam Boga, by nas kiedyś nie pokarał. Teraz, kiedy wiem o „naszych” misjonarzach, którzy pomagają takim właśnie głodnym – nie mogę przyjść z pomocą materialną – będę natomiast modliła się gorąco za Nich. Choć ich nie znam i chyba nigdy ich nie zobaczę, to jednak bardzo ich kocham. Szczególnie S. Zygmunte. Proszę im o tym napisać...”

J.J. Zielona Góra – 16 stycznia 1979

Oprócz takich listów przychodzą też listy od ministrantów oraz od dzieci z Polski do dzieci w Afryce – Burundi. Oto fragmenty niektórych:

„Ligota 11 listopad 1978

Drogie Koleżanki i Koledzy w dalekiej Afryce.

Często czytam o Was w listach misjonarzy pracujących u Was, a pochodzących z Polski. Chcę napisać do Was. Wiemy, że nie wszyscy chodzicie do szkoły, że życie bardzo ubogo. Chciałybyśmy byście wszyscy mieli takie życie jak nasze. Mamy wakacje, chodzimy do ładnej szkoły, mamy co jeść. Ostatnio był fotograf w naszej szkole – posyłam Wam nasze zdjęcie. Jesteśmy na nim trzy: ja, Ala i Krysia. A tak wyglądałyśmy w III klasie. Jeżeli chcecie coś jeszcze wiedzieć to napiszcie.

Bożena, Ala i Krysia”

„...Napiszcie mi, co Wam przysłać. Chcę z Wami korespondować. Napiszcie śmiało, co najbardziej lubicie. Moi koledzy i koleżanki chcą tak jak i ja posłać Wam to, co chcecie. Napiszcie jak się uczycie, jaka jest Wasza szkoła, jacy są koledzy, jak się nazywacie. Napiszcie o Waszej rodzinie, domu...

Drugim razem napiszę Wam jak wygląda u nas jesień, zima – u Was przecież nie ma śniegu”.

10 maja 1978 – Zabrzeg

Kochane Dziewczynki!

Listy Wasze i innych dzieci posłałem do Burundi. Będąc w grudniu u naszych misjonarzy rozmawiałem z nimi na ten temat. Najprawdopodobniej nie otrzymacie odpowiedzi od tamtych dzieci. Może misjonarz albo jakaś grupa dzieci np. ministranci coś napiszą. Po pierwsze – oni umieją tylko język kirundi. I tak musiałby to im tłumaczyć misjonarz. Po drugie – znaczek i koperta jest taka droga, jakie wynagrodzenie może otrzymać pracownik w ciągu całego dnia. Po trzecie - w domach jest niemożliwe, by dzieci napisały list. Tam nikt nie ma ani stołu, ani łóżka, ani krzesła. Jedynym meblem w domu – lepiance jest mata, na której ludzie śpią. W szkole uczą się pisać nie na zeszytach, jak wy – ale mają tabliczki i piszą rysikiem. Gdy już zapiszą całą tabliczką wówczas zmazują ją i piszą od nowa. Dzieci nie mają zeszytów.

Nie dziwcie się więc, jeżeli nie otrzymacie odpowiedzi na Wasze listy. Tamte dzieci jednak pamiętają o Was w swych modlitwach. Kazały Was bardzo pozdrowić i dopytywały się o Was. Bardzo często podczas Mszy św. modlą się głośno za dzieci z kraju misjonarzy. To bardzo ładnie z ich strony, że pamiętają o Was tak, jak Wy o nich.

Czy można im coś posłać? Tam by się wszystko przydało. Wszystkie dzieci chodzą boso. Ale nie jest zimno, to można jakoś wytrzymać. Większość dzieci chodzi głodna cały dzień. Najbiedniejsi są jednak ci, którzy z tego powodu zaczynają chorować. Wówczas muszą często, po 20 km chodzić do S. Zygmunty, by ich leczyła. Dużo dzieci umiera. Głównym powodem śmierci jest niedożywienie.

Jeszcze raz bardzo Wam w ich imieniu dziękuję za dobrą wolę. Przede wszystkim bądźcie zainteresowane misjami. Inna pomoc może zainteresować innych, którzy mogliby misjom pomagać przez znoszenie cierpień (np. ludzkie choroby, samotność) lub niesienie pomocy materialnej. Najważniejsza jednak pomoc, to jak powiedział O. Teofil, gdy był w

Polsce, sami przyjdźcie na misje. Módlcie się o powołania misyjne dla siebie i swoich kolegów.

Gdy odjeżdżałem, dzieci kazały Wam powiedzieć: Nagasaga – do widzenia!

KONFERENCJA P. O. TEOFILA WYĞŁOSZONA W PARAFII TRUSKOLASY

+Bracia i Siostry w Jezusie Chrystusie!

Przewielebny Ks. Dziekan, proboszcz parafii, prosił mnie, bym do Was powiedział słów kilka na temat misji – na temat pracy misyjnej, bo od kilku lat, z łaski Bożej pracuję na misjach w Burundi, w centrum Afryki. Ale cóż powiem – co mam właściwie powiedzieć? Kiedy czytamy Pismo św. przeznaczone na dzień dzisiejszy to wiemy, bo taka jest rzeczywistość, że sam Bóg przemawia do każdego z nas.

I dzisiaj, Jezus Chrystus w Ewangelii Swojej chce nam coś powiedzieć – każdemu z Was osobiście. Co? – o to każdy z nas musi pytać w sercu swoim. Ogólnie – jako zgromadzenie eucharystyczne – to trzy prawdy z tych czytań powinniśmy wyprowadzić. Trzy prawdy jakoś przeżyć.

Przypowieść o winnicy – ta z Izajasza Proroka i ta według św. Mateusza. Winnica, o którą zatroszczył się tak bardzo właściciel winnicy, to Kościół Boży – to każdy z nas osobiście.

To jedna prawda, jak bardzo Bóg zatroszczył się o nas, umiłował nas. I te wszystkie obrazy, że zasadził winnicę, że ją okopał, oczyścił z kamieni, że zasadził szlachetną gałąź – to wszystko jedna prawda.

A druga prawda – to jakby pytanie – jak ja tę miłość przyjmuję. Bo byli rolnicy, którzy nie przyjęli tego, co im zostało dane. Owszem zwrócili się przeciw Panu, przeciw właścicielowi winnicy, nie tylko Sługi Jego pobili, ale i Syna zabili. I winnica sama nie przyjęła tego, co jej było dane, ale zamiast jagód zrodziła cierpkie owoce.

I trzecia prawda – to ta, że my mamy zatroszczyć się o tę winnicę, która nam została dana. Żebyśmy jako ci dobrzy rolnicy mogli oddać plon we właściwej porze!

A więc pierwsza prawda! Do jakiego stopnia Jezus Chrystus chciał nam tę prawdę przybliżyć i powiedział: „Włosy Wasze na głowie są policzone”. Tak mnie umiłował Bóg! Czy może być bardziej tkliwa, bardziej serdeczna miłość? Chyba nie ma większej miłości – jak miłość matki do dziecka. Ale która z matek, która z Was, bo jesteście matkami, policzyła włosy na głowie swego dziecka? Która z Was interesuje się każdym włosiem na głowie swego dziecka? Matka interesuje się jaki kolor, ułożenie, czystość. Ale znów, aby każdym włosiem się interesowała – to chyba nie. Ale tak mnie umiłował Bóg, że każdy włos na mojej głowie Go obchodzi. To jest tylko takie porównanie – ale rzeczywistość jest o wiele większa, o wiele bardziej zachęcająca. Możemy powiedzieć, że jest przerażająca. Jeżeli ja wierzę, to rzeczywistość jest taka, że umarł za mnie na krzyżu Syn Boży – Jezus Chrystus, za mnie! Każdy z nas winien to powiedzieć o sobie, co św. Paweł powie – co jakoś chodziło za nim, co mu nie dawało spokoju ani na chwilę. „Umilował mnie i wydał samego Siebie za mnie” – taka jest rzeczywistość. Czy Ty wierzysz w to?!

Naprawdę za Ciebie umarł Ktoś! Nie drugi człowiek, ale Bóg Człowiek! Taka jest rzeczywistość. I jeżeli w to wierzysz – to nie może być Ci obojętny Jezus Chrystus. To nie może Ci być obojętne to, co się tutaj dzieje, bo to nie pamiątka tylko Kogoś, kto kiedyś umarł, ale to uosobienie bezkrwawej ofiary i dlatego to nie może być Ci obojętne i jeżeli w czasie tej ofiary nudzisz się tylko i patrzysz na plecy drugiego człowieka i kryjesz się tam gdzieś daleko po kątach, a potem idziesz i do niczego Cię to nie zmusza w życiu, to musisz pytać, czy ja w ogóle wierzę. I jeżeli jakieś byłoby moje życzenie dzisiejsze – to właśnie to, żebyś z tej ofiary, z tego spotkania z Jezusem Chrystusem odszedł z tym przekonaniem, że Bóg Cię umiłował. Żeby włosy nie dawały Ci spokoju, żeby Cię prześladowały. Ile razy dotkniesz swoich włosów, lub popatrzysz na włosy drugiego człowieka, żeby Ci to mówiło: „Tak mnie umiłował Bóg, że każdy włos na mojej głowie Go obchodzi”. Bóg tak mnie umiłował, że Syna Swego oddał za mnie, aby ten Syn za mnie umarł.

I dlatego mi nie może być obojętne to, co nie może być obojętne Jezusowi Chrystusowi. A Jemu żaden człowiek nie jest obojętny. Także ci ludzie, którzy gdzieś tam w innych krajach żyją, o których od czasu do czasu mówią nasi misjonarze.

To jest takie szczęśliwe, że mogę stanąć przed Wami i mówić Wam o misjach, a Wy mi nie możecie powiedzieć: - co mnie to obchodzi – bo inaczej nie bylibyście chrześcijanami.

Jeżeli mówimy o tej przeogromnej miłości, która każdego z Was dotyczy, to Ona rodzi się stąd. I dlatego mówimy o zatroskaniu, o misjach. Jeżeli ja uwierzyłem, że Bóg tak mnie umiłował, to mnie musi obchodzić każdy drugi człowiek. Także ten, który gdzieś tam daleko żyje.

Co mogę powiedzieć o misjach, o naszej pracy? No, chyba nic nie mogę powiedzieć. Tam pracujemy! Kiedyś pytano mnie – gdy byłem poprzednim razem – co wy tam robicie? Odpowiedzieć mogłem chyba tak – my tam jesteśmy. I dla waszych ludzi ważne jest to, co my robimy, ale dla naszych ludzi ważne jest to, że my tam jesteśmy, że znalazł się ktoś, kto opuścił raj jak kiedyś Jezus Chrystus i przyszedł do nich, aby z nimi żyć, aby z nimi dzielić ich życie, bo jest to trochę tak, jak zstąpienie z raju gdzieś tam...Ja zdaję sobie sprawę, że Wy w żaden sposób nie możecie sobie wyobrazić, jak to jeszcze jest dzisiaj na świecie, jak jest w Burundi. Kraj ten zaliczono do trzech z najbiedniejszych krajów na świecie. I rzeczywiście – jest to bardzo biedny kraj. Bo co tam jest, a czego nie ma? Jak się popatrzy z naszego punktu widzenia to właściwie nic tam nie ma. – Nie ma autobusów, kolei, nie ma dróg, szkół, elektryczności, lekarzy – no, nie ma nic – tak można mówić. U nas dopiero 24% dzieci chodzi do szkoły podstawowej – może zacząć szkołę podstawową. Wyobraźcie sobie, że na 100 dzieci – 24 zaczyna szkołę – a ile z nich kończy? Z innych rzeczy, których nie ma – u nas nie ma lekarzy. U nas wypada jeden lekarz na 100.000 ludzi. Wyobraźcie sobie miasto, które liczy 100 tys. i jest tylko jeden lekarz. U nas mamy w diecezji 350 tys. ludzi i mamy tylko dwóch lekarzy, czyli jakieś 170 tys. ludzi na jednego lekarza. Proszę sobie wyobrazić – kto się tam może do niego dostać. Proszę sobie wyobrazić – co ma robić matka, kiedy jej dziecko zachorowało. To jest bardzo potem zwyczajne, że w jednej rodzinie umiera troje, czworo dzieci w jednym tygodniu nawet, np. w czasie epidemii.

I gdy tak się idzie przez wioskę, to się widzi: tu dwoje, tam troje, tu czworo umarło w ciągu jednego tygodnia. Które przeżyły, będą żyły. Bo cóż zrobić – jak jest jeden lekarz na 170 tys. ludzi. Oczywiście są siostry. Są to siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus, które tutaj u nas pracują, ale cóż ta siostra robi. Ona od rana do wieczora pracuje, nocą też pracuje – np.

ale cóż. Ona robi dużo, bardzo dużo. Uratowała setki dzieci, które żyją dzisiaj, a które by nie żyły, gdyby tam nie przyjechała siostra Karmelitanka Dzieciątka Jezus, bo w Burundi pracuje nas dziesięciu Karmelitów Bosych i sześć Karmelitanek Dzieciątka Jezus i dwie siostry są już w drodze. Tylu misjonarzy na ten kraj.

Co by jeszcze można mówić. Można mówić o głodzie, o problemie wody, która jest u nas, bo chociaż mamy wody pod dostatkiem, bo chociaż to jest pod równikiem – to jest w górach wysoko i ta woda trochę się zatrzymuje i po tę wodę trzeba iść nieraz po 2 godziny, aby ją wynieść na górę – ale woda w końcu jest. Bo nie jest tak, jak w niektórych krajach, gdzie niedawno brakowało wody. Woda jest – ale u nas na równiku woda jest niezdatna do picia. To znaczy wodę można pić, ale trzeba ją najpierw przegotować i przefiltrować i dopiero wtedy można ją pić bez obawy, że się straci zdrowia. Z takiej wody, gdy się pije prosto z rzeki lub źródła, to powstają różne robaczyce, których jest bez końca, lub choroby krwi itd.

I dlatego w naszym kraju bardzo dużo ludzi choruje, śmiertelność jest bardzo wielka i wśród dzieci, bo nasi ludzie nie mogą sobie pozwolić nawet na częste gotowanie wody, a już zupełnie na filtrowanie. Na gotowanie – bo rodziny są bardzo liczne, a gdy mama ma jeden lub najwyżej dwa garnki na gotowanie grochu dla całej rodziny, to już nie ma czasu na gotowanie wody. Musiałaby czekać aż groch zjedzą, a jeżeli zjedzą, to kto by znowu czekał, zanim by się woda ugotowała. Więc idą w busz i piją wodę taką, jaka jest.

To tak by wyglądało od tej strony materialnej. Jeżeli można Bracia i Siostry, słówko od strony duchowej. No cóż, Burundi jest bardzo zaludnionym krajem, bo żyje tam 130 osób na 1 km², kraj najbardziej zaludniony w całej Afryce. W Burundi znamy ludzi, którzy wierzą w jednego Boga, Stworzyciela Nieba i Ziemi. Ale w wierze ich interesowano się bardziej duchownie – duchami przodków, bo oni są bliżej nas, a Pan Bóg to jest tam gdzieś, gdzieś bardzo daleko – w niebie!

Jest dobry i dlatego nie trzeba się za bardzo troszczyć o Niego. Te duchy przodków mogłyby szkodzić lub pomagać, więc im się więcej oddawało czci i ofiar jakiś. Ci ludzie są bardzo otwarci na przyjęcie Ewangelii Jezusa Chrystusa. I to nie jest tak, skoro oni wierzą, no to po co do nich iść. Tak! Oni wierzyli w Boga, ale ta wiara nie była pełna. Ta wiara nie powiedziała im o braterstwie w Bogu, o tym, że Bóg jest Ojcem wszystkich ludzi, moim i twoim, a więc jesteśmy braćmi i siostrami. Tę prawdę przynosi nam Jezus Chrystus. I prawdę w życie wieczne. Przychodzi do nas Jezus Chrystus w Eucharystii, aby nas umocnić i przemieniać z dnia na dzień w Boże Dzieci. To im przynosi religia katolicka i oni są gotowi te prawdy przyjąć.

Niestety, u nas brakuje misjonarzy i misjonek, bo są parafie, gdzie jest 60 tys. ludzi już ochrzczonych, a jest tylko jeden kapłan lub dwóch kapłanów. I ci ludzie nie są tak zebrani w jednym mieście jak tu, ale do nich trzeba dotrzeć, jak oni są rozrzućeni w promieniu 60 – 70 km i tam jest jeszcze jedna parafia. Tam są stacje misyjne. I jeżeli jest na takiej parafii 2 kapłanów, to cóż oni mogą zrobić. Proszę mi powiedzieć jak wyspowiadać 60 tys. ludzi. Ile na to trzeba czasu, choćby się oni spowiadali tylko po jednej minucie. To jest 60.000 tys. minut. To ile to jest godzin? Ile dni? A przecież misjonarz ma jeszcze wiele innej pracy, musi zorganizować służbę zdrowia, musi budować kościoły i kaplice, musi pomagać różnym ludziom, musi chorych opatrywać lub zawieźć umierających do szpitala oddalonego o 200 km, jak zajdzie potrzeba. Musi!!!

On ma wiele, wiele różnych spraw poza spowiadaniem. On musi się przygotować do kazania, bo to nie tak, jak ja sobie tutaj mówię w języku polskim, mniej lub więcej udolnie. Ale ostatecznie mówię. Ale tam, ja się muszę nad każdym słowem zastanowić. Co ja mówię, co oni przez to rozumieją i dlatego to jest trudne. Ci ludzie czekają na misjonarzy. I dlatego, jeżeli dzisiaj stanąłem przed Wami – w tym miesiącu, który jest miesiącem misyjnym, to chcę Was bardzo serdecznie prosić o modlitwę za misje i za misjonarzy. Bo jak dzisiaj rano powiedziałem – wy tu macie swoje problemy w tej parafii, wy tu macie swoich ubogich, wy tu macie swoje troski. A jeżeli chcecie być uczniami Jezusa Chrystusa prawdziwymi – to wy musicie wyjść poza Wasze tylko troski. Bo inaczej, to tylko egoizm osobisty, kiedy to tylko moje sprawy mnie obchodzą, albo egoizm w kręgu rodziny. Ale to nie katolicyzm jeszcze. Katolicyzm – to wyjście poza nasze troski i objęcie sercem całego świata, tak jak objął sercem świat Jezus Chrystus.

Dlatego myślę, że zechcecie się pomodlić o powołania misyjne. Bo trzeba księży misjonarzy, braci i siostr zakonnych. I jeżeli tak naprawdę się pomodlicie – to powołania będą też w tej parafii. Ale bym Was tak bardzo gorąco prosił, by ta modlitwa była w duchu i prawdzie. Panie Boże, daj misjonarzy – bo ich bardzo potrzeba. Panie Boże, daj łaskę powołania mojemu dziecku i jeżeli chcesz, poślij go na misje.

A wy młodzi powiedzcie Panu Jezusowi i pomódlcie się aż tak: Panie Boże, jeżeli chcesz, daj mi łaskę powołania i poślij mnie. To będzie wspaniała przyгода. Amen

O. Bronisław Tarka

MOJA PODRÓŻ DO BURUNDI W AFRYCE

Pierwszy grudnia 1978 r. W tym dniu wylądowaliśmy w Bujumbura – stolicy jednego z trzech najbiedniejszych państw świata według obliczeń ONZ. Nigdy nie myślałem, by mi było dane tam się znaleźć. Przed godziną 8.00 rano samolot po 12-godzinnym locie z Brukseli przez Ateny (1 godzina postoju na zatankowanie zbiorników – uzupełnienie paliwa) samolot wylądował na ziemi Afryki.

Kilkanaście minut przed lądowaniem O. Teofil pierwszy zobaczył w dole, między chmurami góry i jezioro Tanganika. Gdy samolot obniżył się, można było zobaczyć wiele czekoladowych rzek spływających do jeziora. Samolot poleciał na brzeg jeziora, gdzie widzieliśmy na drodze prowadzącej na lotnisko, czerwony samochód, podobny jak S. Zygmunt. Stąd myśleliśmy, że przyjechała S. Zygmunt. Niestety, ktoś jeszcze inny też ma czerwony samochód. Nie tylko „nasza Mama Kaszuba” – jak Murzyni mówią na S. Zygmunta, to znaczy „Siostra Słoneczko”. Znad brzegu jednak samolot znowu poleciał nad jezioro i od strony jeziora zaczął lądować.

Dużo wcześniej słyszałem na temat misji, misjonarzy, ich pracy, ich kraju – nigdy jednak opowiadanie nie jest tym samym, co zobaczenie na własne oczy tamtej rzeczywistości.

Gdy samolot leciał już nad jeziorem Tanganika zgadywaliśmy z O. Prowincjałem, Teofilem i Kantym, kto po nas przyjedzie. Dokładnie zgadł O. Jan – przyjedzie O. Kamil i O. Elias. Rzeczywiście tak było. Gdy wyszliśmy z samolotu – z daleka widać było tych naszych Ojców oczekujących naszego przylotu.

Ludzi nie przyleciało zbyt wielu. Reszta pasażerów została w samolocie, który leciał dalej do Kigali – stolicy Rwandy. Już samo lotnisko, po wyjściu z samolotu, różniło się bardzo od tych wspaniałych budynków, jakie widziało się w Brukseli czy Atenach. Tutaj całe lotnisko to pas startowy i niewielki budynek pasażerski. Nie to było jednak ważne w tej chwili.

Widzimy po kilku latach O. Eliasza i O. Kamila. O. Teofil także po kilkumiesięcznej przerwie z drżeniem serca wraca do „swego domu”. Jeszcze przed przejściem przez granicę celną cieszy się na spotkanie z naszymi braćmi. Jak bardzo dziwnie człowiek się czuje wśród samych Murzynów. Odtąd jednak trzeba się do tego przyzwyczaić. To tak, jak kiedyś podpisał się pod jednym ze swych listów O. Jan – czułem się jak biały Murzyn. Rzeczywiście, na każdym kroku człowiek jest obserwowany jak Murzyn w Polsce.

Widzimy, że oprócz wspomnianych wcześniej, ktoś jeszcze jest po nas. Widzimy Profesora z Seminarium w Bujumbura, S. Jordanę (dopiero mieliśmy ją poznać – ona jednak jest znana naszym Ojcom od początku ich pobytu w Afryce), Włoszkę, jednego klero Polaka – Diakona, który podczas Świąt Wielkanocnych otrzyma święcenia kapłańskie. Jak się później przekonamy, była także na lotnisku jedna, przypadkowo spotkana Siostra z Czechosłowacji.

Po odebraniu naszych bagaży, bez większego trudu – załadowaliśmy rzeczy i sami rozmieściliśmy się w samochodach, którymi po nas wyjechano. Gdy jechaliśmy z lotniska do miasta – widzę pierwsze obrazy tego kraju. To samo, co widziałem na tyłu fotografiach i przezroczach. Z daleka widać piękne, wysokie góry. Na wielkiej równinie wiele wspaniałych drzew – pytam jak się nazywają. O. Eliaz mówi mi, że to mango, a te kępy z szerokimi liśćmi – to banany. Rzeczywiście, bananów widzimy bardzo dużo aż do samej stolicy. Domków nie widać. Przypominają raczej jakieś niewielkie kopki siana. Coraz bliżej miasta domki stają się trochę ładniejsze – to znaczy bardziej podobne do domów. Przy drodze widać bardzo dużo ludzi. Kilku jedzie na rowerze, inni jednak idą pieszo. O. Eliaz mówi mi, bym zwrócił uwagę na to, że wszyscy chodzą boso.

Jeszcze wczoraj – w Brukseli – padał śnieg. Po kilkunastu godzinach lotu, znaleźliśmy się w kraju, jakże bardzo różnym. Większość ludzi chodzi boso zawsze. Wreszcie wjeżdżamy na ulice miasta. Oczywiście prawie wszystkie domy, poza kilkoma, są parterowe. Miasto podobne, jak kiedyś wyraził się w jednym liście chyba O. Eliaz czy Józef – do Makowa Podhalańskiego. Dojeżdżamy do PAR – to znaczy domu Ojców Białych – którzy prowadzą coś w rodzaju hotelu dla misjonarzy. To tutaj bardzo ważne. Misjonarz jedzie często kilkaset kilometrów do stolicy – tutaj ma wszystko gotowe. Nie musi martwić się o nocleg, jedzenie itp. Ojcowie Biali teraz właśnie taką pomocą służą misjonarzom zarówno w Brukseli, jak i w Afryce. To bardzo ułatwia pracę misjonarzom.

Jesteśmy radośnie przyjmowani przez tamtejszych Ojców. O. Teofil i O. Jan są przecież tam znani. Nas, tzn. O. Prowincjała i mnie często pytają, czy przyjechalśmy na stałe. Gdy mówimy, że nie – wówczas widać wielki żal – „a szkoda”. Otrzymaliśmy pokoje i rozglądamy się po budynku. Jakże inny od naszych w Polsce. Nad łóżkiem wielka moskitiera – siatka chroniąca przed ukąszeniem komarów. Wszędzie posadzka – nigdzie nie widziałem podłogi czy parkietu. Połowa okna nie ma szyby, tylko gęstą siatkę. Gdy wstąpiliśmy do kaplicy – widzimy kilku modlących się misjonarzy. Teraz ustalamy porządek dalszej podróży.

Dziś mamy dojechać aż do Musongati. Tak O. Kamil z O. Eliaaszem ustalili. Nie można burzyć porządku. Wcześniej, jak mówią, muszą wiele spraw załatwić w mieście.

Po śniadaniu wobec tego jadą do miasta załatwić to, co się da. O. Prowincjał z O. Teofilem i O. Janem zostają w PAR – ja natomiast jadę z O. Eliaaszem i Kamilem. Proponują, byśmy przejechali przez dzielnicę arabską. Tam dopiero mam zobaczyć „prawdziwy” obraz Afryki.

Rzeczywiście, tak nędznego zakątka miasta jeszcze nigdy w życiu nie widziałem. Wszędzie grupy ludzi – oczywiście bez pracy. Tak chodzą cały dzień bez zajęcia. Sklepy – pożałuj Boże. Wchodzimy do jednego żydowskiego sklepu – przed sklepem moc ludzi. Gdy wchodzimy, wszyscy się rozstępują. Oczywiście, właściciel sklepu nas zauważył. Wszystkich zostawia i idzie pytać, czego szukamy. Tak zresztą jest w każdym sklepie. Na ulicy – jeżeli to można tak nazwać – wszędzie pełno śmieci, brudnych dzieci i błota. Zwiedzamy jeszcze trochę nędznych sklepików. Jedziemy kupić w sklepie arabskim, ale już w centrum miasta, materiał na habit dla brata Cyryła. Kupujemy, następnie wstępujemy do sklepu pod nazwą „Św. Paweł”, gdzie misjonarze kupują wszystkie pomoce duszpasterskie. Sklep jest prowadzony przez bezhabitowe zakonnice. Rzeczywiście, jest on dobrze zaopatrzony, chociaż wszystko bardzo drogie.

Przed sklepem nasz samochód jest oblężony przez młodzież, która pokazuje wiele rzeczy do sprzedania. Obrazy, wisioriki, kartki, figurki itp. Wszyscy mówią bardzo wygórowane ceny. O. Kamil pokazuje mi, jak należy handlować. Zawsze, gdy jeden idzie do sklepu coś kupować – wówczas drugi misjonarz musi siedzieć w samochodzie i pilnować, żeby ich nie okradziono. Gdy tacy chłopcy przychodzą coś sprzedać, to zawsze po to mówią tak wysoką cenę, żeby później mógł obniżyć. Często powie, że chce coś sprzedać za cztery tysiące, a sprzedaje za 300 franków. Tylko trzeba ruszyć samochodem – ceny zaraz lecą w dół – bo nuż klient odjedzie. Stamtąd pojechaliśmy jeszcze do Białych Sióstr, które zorganizowały coś w rodzaju fabryczki pamiątek z Burundi. Kilkanaście biednych dziewcząt nauczyły wyrabiać wiele pięknych rzeczy z liści banana i z wielu innych materiałów. I z tego się utrzymują.

Przed wyjazdem do Białych Sióstr, O. Kamil z O. Eliaaszem wstąpili do drukarni, zapytać czy są już może kalendarze. Rozmowa przeciągnęła się trochę, a ja byłem w samochodzie, by go pilnować. Przez te kilkanaście minut samochód tak się nagrzał, że nie można było dotknąć blachy. Była bardzo mocno ciepła. W Polsce w tym roku nie było nigdy takiego nagrzanego samochodu. Trudno było uwierzyć, że to dziś jest pierwszy grudnia.

Bardzo musimy się spieszyć, gdyż o godz. 12.00 mamy wspólnie odprawić Mszę św. Szybko więc wracamy i odprawiamy Mszę św. Oczywiście w języku francuskim. My korzystamy z tekstu łacińskiego. Po Mszy św. do kaplicy przyszli inni misjonarze na rachunek sumienia. Wszyscy po odmówieniu Anioł Pański poszli na obiad. Ciekawa ta jadalnia. Na każdym stole butelka z wodą. Już wiedziałem wcześniej, z opowiadań O. Teofila, że tak jest, gdyż wody nie można pić tak bez przegotowania. Woda, aby nadawała się do picia musi być przegotowana i przefiltrowana, przez specjalne kamienie przesączona. Dlatego ta do picia jest w specjalnych butelkach. Tak jest w całym państwie. Oprócz tego kilka razy w tygodniu należy zażywać proszki tzw. Nivacinę.

Posiłek inny niż w Polsce, ale nie tak różny, by szczególnie utkwił w pamięci. Tyle tylko, że na deser były ananasy. Po obiedzie zaczynamy się pakować, zbierać swoje rzeczy i

znosić do samochodu. Będzie nas sporo. Mamy tylko jedną furgonetkę – tę, którą otrzymał ośrodek S. Zygmunty jako dar z Austrii – o ile pamiętam. Osób zaś jest dość sporo, bo oprócz O. Eliasza, Kamila i S. Jordany – mamy jechać my czterej, przylatujący z Polski. Bagaż z trudem musieliśmy ugniatać w tyle samochodu. Jakoś się udało i koło godz. 13.30 ruszyliśmy w długą drogę do Musongati – naszej drugiej placówki.

Tę placówkę nasi Misjonarze budowali od fundamentów. Nie było nic. Musongati – była to jedna z wielu bardzo zaniedbanych stacji misyjnych. Teraz jest wielką parafią i to parafią z przyszłością. Niewiele jest w Burundi takich ośrodków zdrowia, jaki będzie miała S. Zygmunta.

Gdy wyjeżdżamy z Bujumbury, jak zawsze, trzeba kupić tyle benzyny, ile się zmieści. Do stolicy prawie 250 km nie jeździ się codziennie. Trzeba więc wykorzystać każdą sytuację. Przed domem, jak i w całym mieście widzi się bardzo wielu żebraków. Dużo kalek na każdym kroku. Jak się później okaże, są oni w całym kraju. Dlaczego? Gdy ktoś złamie nogę, rękę, czy zachoruje, próbuje sam się leczyć. Ze złamaniem nikt nie chodzi do lekarza – bo gdzie go spotkać. Trzeba byłoby iść często do 40 km albo więcej. A kto sobie na to pozwoli, by go nieśli inni? Przecież nie da się przywołać karetki pogotowia. Stąd dużo takich źle zrosniętych złamań kończyn. Ci ludzie proszą teraz o wsparcie na każdym niemal kroku.

Pierwszy odcinek drogi – to dość dobra droga. Prawie cały czas asfaltowa, aż do Gitegi. Gitega to dawna stolica państwa. Dlatego też ten odcinek drogi, ze stolicy do Gitegi, jest najlepiej utrzymany. Droga tuż za stolicą jest jeszcze równa. Powoli jednak zaczyna się wznosić i wić stromymi i ostrymi serpentynami. Z daleka widać pięknie rozciągające się miasto nad brzegiem rzeki. Pogoda piękna – więc możemy podziwiać uroki tego nieznanego kraju. Wszystko jest bardzo ciekawe i dlatego trudno wszystko zauważyć. Rzucą się w oczy sposób noszenia różnych rzeczy przez Murzynów. Wszystko noszą na głowie. Mają specjalne „wianki” splecione z bananowych liści. Na te wianki nakładają bardzo często wielkie ciężary. Teraz wzdłuż drogi widać takich właśnie ludzi – obciążonych różnymi ciężarami. Zatrzymaliśmy się raz, gdzieś w połowie drogi. O. Kamil chciał kupić w „sklepie warzywniczym” – to znaczy u jakiejś kobiety, która sprzedaje marchew czy kapustę – jakieś warzywa. Jak tylko otworzyliśmy drzwi samochodu – znowu tak jak w Bujumbura – wielu handlarzy już się kręci, by sprzedać różne rzeczy. Kupiliśmy piękne bębny. Myślałem, że zabiorę je wszystkie do Polski. Byłaby ładna kolekcja. Niestety, gdy przed wyjazdem zacząłem się pakować, musiałem zostawić rzeczy, tyle ich było, że wystarczyłoby nappełnić trzy walizki. Trudno, wszystkiego nie można zrobić, co by się chciało. Może misjonarze, gdy będą jechać do Polski przywiozą to ze sobą.

Po jakiejś, chyba półgodzinnej przerwie, ruszyliśmy dalej. Teraz jest prosto do Gitegi. Tutaj podjechaliśmy wprost pod pałac arcybiskupa Makarakizy. Nie był obecny w domu, gdyż dzień wcześniej zmarł mu ojciec. Pałac arcybiskupi w niczym nie przypominał pałacu. Raczej większy dom, w środku bardzo schludnie utrzymany. Zabudowań oczywiście jest bardzo dużo – ale to różnego rodzaju budynki o przeznaczeniu specjalnym np. naprawa samochodów, stacja benzynowa, szkoła, magazyny, opodal klasztor sióstr klauzurowych. Nie mieliśmy jednak czasu, by je odwiedzić.

Gdy nas zaprosił O. Teofil na kawę jak u siebie w domu, zauważyliśmy już fotografię Ojca św. – Jana Pawła II. Oczywiście wszędzie rozmowa rozpoczynała się od tego tematu, gdy tylko dowiedziano się, że jesteśmy Polakami. Nawet kilku chłopców przed

arcybiskupstwem zaraz mówiło, że jesteśmy z kraju Papieża. Przyszedł nas przywitać starszy już kapłan, mieszkający w arcybiskupstwie. Pyta ilu nowych misjonarzy wieziemy do diecezji Ruyigi. Zwraca się więc do O. Prowincjała, następnym razem niech nie zapomina o diecezji Gitega. Po krótkim postoju i podwieczorku, ruszamy w dalszą drogę. Bardzo ciekawie wygląda sposób spożywania owoców. Tego to jeszcze nie widziałem. Na stole podano mango, papaje, banany i jeszcze jakiś owoc, którego nazwy nie pamiętam. Ma on gorzką bardzo pestkę. Każdy niemal owoc oprócz banana, przekroić trzeba na połowę i jeść łyżeczką. Ten owoc natomiast, którego nazwy nie pamiętam, je się z solą albo z pieprzem. Każdy jednak jest bardzo smaczny. Po kilku dniach mieliśmy skosztować jeszcze wiele innych, równie dobrych owoców. Przed biskupstwem jest piękne drzewo korkowe oraz dwa piękne drzewa o ślicznym wyglądzie. O. Teofil ma ochotę takie same zasadzić w swoim ogrodzie.

Wreszcie ruszamy dalej. Wzdłuż drogi bardzo dużo ludzi, którzy bardzo chętnie machają ręką na powitanie. Chociaż nie znają człowieka, to jednak bardzo sobie cenią każdy gest życzliwości czy uśmiechu. Od samej stolicy zauważamy, że ziemia dokoła jest koloru czerwonego – tak jak często widzieliśmy wcześniej na przeźrocach. Co się jeszcze rzuca w oczy, a czego nie da się nie zauważyć, to sposób noszenia dzieci przez matki. Wszystkie niemowlęta nie są noszone na rękach, lecz są owinięte w chustę i przywiązane do pleców matki.

Oczywiście także potężne rogi krów, które się widzi, budzą ciekawe nasze skojarzenia. Więcej jednak widzi się tu kóz niż krów. Podczas drogi z Gitegi, jakiś czas zaczął padać deszcz. Droga była zaraz śliska. Trzeba było jechać wolniej. Dobrze to robił O. Kamil, który samochód prowadził. W drodze O. Jan zaproponował, byśmy odmówili różaniec. Oczywiście nie można w jednym języku, ponieważ S. Jordana nic nie rozumie po polsku. Postanowiliśmy więc, że będziemy mówić po łacinie, po polsku i po włosku. Tak się też stało. Gdyśmy odmawiali różaniec, bardzo szybko zbliżał się zachód słońca, które ma miejsce koło godz. 18.00. Po odmówieniu różańca jeszcze trochę pośpiewaliśmy sobie. Tutaj wychodziły bardzo ciekawe sceny. O. Jan, który w ostatnich tygodniach podróżował po Włoszech, Niemczech i Belgii, posługiwał się niemal wszystkimi językami europejskimi. Ciekawe było, jak do nas zwracał się bardzo poważnie po francusku lub usiłował nam coś wytłumaczyć po włosku, a do S. Jordany, jak gdyby nigdy nic, mówił po polsku. Dziwił się tylko jej minie. Nie zwracaliśmy mu na to uwagi – dopiero sam się spostrzegł. Było śmiechu, że chyba trząśnięty był cały samochód. Czas bardzo szybko mijał i drogi też ubywało.

Wreszcie O. Jan mówi, że już widzi swoją parafię. Rzeczywiście za chwilę pokazał nam kamień, od którego rozpoczyna się jego parafia. Stąd jest tylko 15 km do kościoła – za chwilę zobaczę, jak ten kościół wygląda (taka nędzna szopa). Nowy kościół będzie budowany za kilka lat, jak się wybuduje ośrodek dla chorych. Słońce zachodziło, gdy dojechaliśmy do Musongati. Trzeba dać znać klaksonem samochodu, że przyjechaliśmy. Z kuchni wychodzi Izydor (kucharz) i bardzo szeroko uśmiechnięty wita swych znanych już Ojców Teofila i Jana oraz nas.

Bardzo ładnie wyglądało powitanie. Misjonarze witali się z nim jak z kimś bardzo bliskim w rodzinie. I on czuł, że jest wśród ludzi bardzo mu życzliwych. Zaraz O. Jan kazał „zrobić” światło. Izydor puścił w ruch motor i zrobiło się jasno. Po chwili przyjechała swoim czerwonym samochodem S. Zygmunta. Jechała do szpitalika, bo leży tam ktoś bardzo chory i po drodze wstąpiła przywitać się. Wszyscy cieszyli się wszystkimi – widać, jak odległość

bardzo ludzi łączy. Tworzą, jak się dało zauważyć – jedną piękną rodzinę, tym bardziej związaną, że jest to rodzina karmelitańska.

Po umyciu rąk zasiedliśmy do kolacji, wcześniej przygotowanej przez Izydora. Spodziewał się naszego przyjazdu. Nie pamiętam co jedliśmy, w każdym bądź razie bardzo smakowało, bo byliśmy głodni i zmęczeni. Po kolacji, póki świeciło światło, rozglądaliśmy się po klasztorze. Następnie poszliśmy przywitać się z Siostrami Karmelitankami Dzieciątka Jezus. Oczekiwały nas. Nie byliśmy długo, gdyż O. Teofil chciał nam pokazać pięknie świecące gwiazdy. Poszliśmy się więc przejść w pobliżu klasztoru. Nie odchodziliśmy daleko, gdyż chcieliśmy zdążyć na godz. 21.00 na „dzwonienie” innych naszych misjonarzy z Mpinga. Punktualnie zadzwonił O. Bartłomiej z O. Eliaszem pytając czy „już przyjechaliśmy”, „kiedy przyjadą do nas”, „niech przyjadą przywitać się”. Postanowiliśmy, że jutro do Mpingi pojedzie O. Prowincjał, ja natomiast zostanę na kilka dni w Musongati. Potem zmienimy się miejscami pobytu. O. Prowincjał przyjedzie tutaj, a ja pojedę do Mpingi. Po „dzwonieniu” odmówiliśmy wspólnie nieszpory i kompletę, a następnie po zimnej kąpeli – spać.

Z zaśnięciem nie było kłopotu, gdyż poprzednią noc spędziliśmy całą w samolocie, a cały ostatni dzień w samochodzie. I tak minął pierwszy dzień w Afryce. Dzień pełen wrażeń, spotkań ludzi, uśmiechu Czarnych i dzień powitań nieznanym, machających w naszym kierunku rąk.

Podczas odmawiania nieszporów zaczął padać bardzo obfity deszcz. Oby był znakiem błogosławieństwa Bożego dla dalszej pracy naszych misjonarzy, a szczególnie dla O. Teofila i O. Jana (cdn.).

O. Bronisław

KRONIKA MISYJNA:

Grudzień 1978r.

1 grudnia: Po swych dość długich wakacjach (związanych z chorobą i operacją) powrócił do Burundi, na swój dawny teren misyjny O. Teofil Kapusta. Wrócił także O. Jan Stasiński po swym odpoczynku w kraju ojczystym. Wraz z nimi pojechał do Burundi O. Prowincjał – O. Eugeniusz Morawski oraz sekretarz misji - O. Bronisław Tarka. O. Prowincjał otrzymał polecenie od O. Generała z Rzymu, by kanonicznie erygować Nowicjat dla tubylców, a także przeprowadzić wizytację kanoniczną w klasztorach misjonarzy w Burundi.

14 grudnia: Uroczyste erygowanie Nowicjatu pod patronatem św. Teresy. O. Prowincjał zawiózł do Nowicjatu relikwie św. Teresy od Jezusa – Matki Reformatorki Karmelu. Niech Jej obecność wyprasza liczne powołania do Karmelu w Burundi.

17 grudnia: Pierwsze obłóczyny. Pierwszy kandydat otrzymał habit zakonny. Była to historyczna i uroczysta chwila zarówno dla parafii jak i dla misjonarzy. Brat Cyryl Barutwanayo (nasz pierwszy nowicjusz) wraz ze swą rodziną dziękuje Bogu za powołanie.

Następnie O. Prowincjał zwizytował oba klasztory Ojców Karmelitów Bosych.

Przed świętami misjonarze otrzymali wiele życzeń i listów z Polski. Tą drogą chcą wyrazić wdzięczność tym wszystkim, którzy pamiętają o nich i którym bliska jest sprawa przepowiadania Ewangelii.

25 grudnia: O północy misjonarze odprawili pasterkę za swoich Przyjaciół i Dobrodziejów na całym świecie.

31 grudnia: O. Prowincjał z O. Bronisławem odlecieli z Burundi do Polski. Misjonarze rozpoczynają swą zwykłą, ciężką misyjną pracę.

Marzec 1979r.

Wielki Post. Misjonarze w Afryce mają pełne ręce pracy rekolekcyjnej. Podobnie jak i kapłani w Polsce. Na wielu rekolekcjach, gdy mówi się na temat misji, widzi się wielkie zainteresowanie. Wiele ludzi pyta, jak można pomagać. By sprawę wyjaśnić, może kilka informacji na wiele stawianych pytań. W ostatnich miesiącach Tanzania prowadzi wojnę z Ugandą. Wszystkie skrzynie (takie tylko można wysłać) z rzeczami z Polski przechodzą przez Tanzanię. Teraz więc, z powodu takiej sytuacji, wysyłki są praktycznie niemożliwe. Pozostaje tylko pomoc finansowa – jeszcze możliwa. W sprawach wysyłki lekarstw zawsze można informować się pod adresem:

Siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus – ul. Borowskiego 25, Sosnowiec.

W sprawach wysyłki innych rzeczy – informacji udziela:

O. Bogusław Woźnicki – ul. Działowa 25 – Poznań.

W sprawach informacji oraz pomocy w formie listów misjonarzy, fotografii, biuletynów misyjnych, przeźroczy, materiałów do gablot przykościelnych prosimy - o kontakt na adres: Biuro Misyjne Ojców Karmelitów Bosych – ul. Rakowicka 18 – 31-510 Kraków.

Na tym miejscu w imieniu misjonarzy chcę podziękować tym, którzy budzą zainteresowanie sprawami misji wśród swoich znajomych.

W intencji Przyjaciół i Dobrodziejów Misji w Wielkanoc będzie odprawiona Msza św. na Jasnej Górze – u Matki Bożej Królowej Polski. Kopię obrazu Matki Bożej Częstochowskiej w swym kościele czczą także nasi misjonarze. Murzyni bardzo często modlą się przed tym obrazem.

Dziękujemy także w imieniu misjonarzy wszystkim ministrantom i młodzieży, która spieszy z pomocą. Szczególnie ministrantom z Wielogłów, Kaszewic, młodzieży z Lasek pod Warszawą, z Wałbrzycha, Zabrzegu itd. Trudno wszystkich wymienić.

Podczas ferii zimowych wiele grup młodzieży, która odprawiała rekolekcje, posłało listy i kartki do misjonarzy. Taka pamięć na pewno dodaje siły w życiu misjonarskim. Bóg zapłać!

W Dzień Zmartwychwstania Wszystkim Przyjaciołom, Dobrodziejom i Sympatykom Misji Karmelitańskich w Burundi, składamy serdeczne życzenia. Niech Chrystus Zmartwychwstały napelnia wszystkich owocami swej Męki i Zmartwychwstania.

Alleluja!

Wyjazdy duszpasterskie naszych Ojców Misjonarzy na stacje pomocnicze.

SAFARI W KIGUHU

6 - 9.03.1974

Niektórzy przeszli dopiero na drugi dzień rekolekcji. Dzieci nosiły kamienie. Katechista Zachariasz przedłuża lekcje.

Rekolekcje z kobietami, to najtrudniejsza grupa – ze względu na dzieci, które wrzeszczą wniebogłosey. Chrztu nie było, choć jedno dziecko było zapisane. Odwiedziłem chrześcijan i błogosławiłem domy „kolędą”.

O. Eliaz

27 -28.03.1974

Skupienie na ćwiczeniach i przy spowiedzi dobre. W czasie pracy oczyszczono cmentarz i noszono kamienie.

O. Teofil

29 -31.03.1974

Trochę rozgwaru przed kościołem. W pierwszy dzień padał deszcz, więc zamiast pracy śpiew. Spowiedź do 15.00 i później niedobitki prawie do 18.00. W sobotę ochrzciłem 9 dzieci. W czwartek, piątek i sobotę na Mszy św. o godz. 8.00 brały udział dzieci szkolne. W niedzielę wielu się spóźnia na Mszę św.

O. Teofil

13 - 16.05.1976

Nie przywiozłem zeszytu z zapisami do chrztu św. – zapomniałem i posłałem po niego do Mpingi. Dostałem go już po chrzcie św. Ochrzciłem 13 dzieci. Inni zgłaszali się w przeddzień lub w sam dzień chrztu – ponieważ nie zapisali się wcześniej lub nie było wszystko w porządku – odmówiłem. Spowiedzi było dość dużo – ale nie liczyłem – nie wiem dokładnie. Po południu o godz. 16.30 odmawialiśmy z ludźmi różaniec – przyszło ich dość sporo, szczególnie dzieci. Może zawsze warto zrobić jakieś nabożeństwo eucharystyczne, aby ożywić wiarę i pobożność eucharystyczną, nauczyć ludzi modlitwy i łatwiej zebrać ich do spowiedzi w nieco większej grupie – bo można spowiadać przed i po takim nabożeństwie, a nie cały dzień po jednej osobie (ma to dobre strony, ale jest i nudne takie kapanie co chwilę).

Na plus nauczycieli trzeba policzyć, że naukę w szkole zaczynali zawsze po Mszy św. o godz. 7.30 i sami uczestniczyli we Mszy św. prawie wszyscy. W piątek byłem w katechumenacie. Jeden uczył o grzechach, drugi o sakramentach z dużym przekonaniem. Na rannych Mszach św. było dużo ludzi i dużo przystępowało do Komunii św. – tak, że o mało nie brakło komunikantów. Nie byłem na tyle ludzi przygotowany.

O. Ryszard

4 – 7.11.1976

Wyzaczyłem pokutę 6 dziewczętom, które brały udział w weselu chrześcijanina pogańskim (na wiarę): 30 dni nauki w katechumenacie. Wyzaczyłem też pokutę temu chłopakowi i jego dziewczynie za to, że żyją na wiarę. Im to towarzyszyło wiele osób. Ona jest córką katechisty u protestantów, on synem radnego w parafii, który należy do Legionu Maryi.

O. Eliaz

6 – 9.04.1978

Jadę nauczać, ale wiozę ze sobą pełną Toyotę drzewek do sadzenia. W nowym katechumenacie się uczą. Przy kościele jedna dziewczyna – boj czeka na zajęcie. Mszę św. odprawiłem o godz. 11.00. Przyszli wszyscy z katechumenatu. Dzieci bardzo mało, gdyż mają do 10 kwietnia wakacje świąteczne. Po południu zabieram się do sadzenia. Boy Fabiano poszedł do domu. Zostaję sam. Myślę, że będę spał dobrze. Niestety.

Pierwszy piątek miesiąca. Pada siarczysty deszcz. Znowu nie będzie zbyt dużo ludzi. Gdzieś koło godz. 8.00 odprawiam Mszę św. Rzeczywiście ludzi nie było dużo, około 35 osób. Potem spowiedź św., też bez tłumów. Druga Msza św. o godz. 11.00. Wszystkich by się nazbierało koło setki. Po południu dalszy ciąg sadzenia drzewek.

Sobota

Przynieśli 12 dzieci do chrztu św. Zgodzili się, że będziemy je chrzcili jutro podczas pierwszej Mszy św. Deszcz ciągle pada. W domu księdza wszystko pleśnieje. Nawet książki. Przez cały dzień przelotne deszcze. Do spowiedzi też przychodzą przelotnie. Nie liczyłem, ale nie było zbyt dużo. Wieczorem zlecieli się jak ćmy do światła. Spowiadałem do godz. 18.30. Smolarz – katechista Johani, co wypił zaczął mi układać ludzi do spowiedzi. Następnie boy Fabiano prosił mnie o pieniądze na mydło, bo chce uprać ścierki, a ja nie zabrałem mydła. Dałem mu i poszedł. Wrócił z mętными oczami. Zaczął mnie wypytywać, czy zamknąłem kościół, czy wypłaciłem robotników, zaczął upominać ludzi, że ten ojciec jest nowy i trzeba mu mówić powoli, bo jeszcze dobrze nie rozumie. Pomagał mi nawet po francusku. Tak to jest z Murzynami. Drzewek zasadzonych chyba ze 30 sadzonek. Po Mszy św. chrzest dzieci – w rezultacie ochrzciłem 19.

O. Bartłomiej

9.05.1978

Pierwszy piątek miesiąca. Przyjeżdżam przed 8 rano. Kościół zamknięty. Przed kościołem kilka osób. W katechumenacie nie uczą. Ani jednego katechisty. Posyłam po klucze. Czekam aż do 9.00. Andrea katechista mówi, że mają wolne, bo wczoraj było święto Wniebowstąpienia.

Spowiadam. Przez cały dzień przyszło bardzo mało osób. Po Mszy św. byli z Szembe, Nyamiyagi i Kigu. Po południu na różańcu było trochę osób.

Po obiedzie pojechałem wyładować z Toyoty cement (20 worków) i opalikować sadzonki, by były widoczne. Zdenerwowałem się, bo na terenie misjonarskim zostały wycięte eukaliptusy – młode już odrośnięte drzewka. Jakiś Murzyn pyta mnie o nowiny.

Sobota

Na Mszy św. jest około 50 wiernych. Przez cały dzień kapią do spowiedzi. Po południu różaniec. Przyszli razem z maleńkimi dziećmi, które płaczą pomagając nam w odmawianiu Zdrowaś Maryjo. Niektórzy przyszli prosić, by ich zabrać do Nyamiyagi, Mpingi.

Są tacy, którzy zawsze proszą, jak tylko przyjadę.

O. Bartłomiej

/Wyjątki z „pamiętnika” O. Bartłomieja/

SAFARI W NUNGA

15.09.1977

Przyjechaliśmy trochę późno. Rano do Mpingi przyjechał Kamion z rzeczami z Bujumbury. Boye zamknęli kuchnię i poszli na ślub (popatrzeć). Było chyba siedem par, między innymi Marietta z Sylwestrem. Trzeba było przygotować śniadanie. Po przyjeździe wypowiadałem jakieś 15 osób. Potem odprawiłem Mszę św. o Matce Bożej Bolesnej. Ja powiedziałem parę zdań, resztę dopowiedział katechista. Na obiad przyjechał O. Jan Stasiński – proboszcz z Musongati. Obszedł kotlinę Rusunu, która należy do Musongati. Chce, by należała do Mpingi, bo ludzie mają bliżej do Nunga niż do Katakazy. Odprowadziłem go do samochodu, który zostawił przy drodze (5 km od Nungi).

Wróciłem – wypowiadałem trzy osoby.

Piątek

Msza św. o godz. 8.00. Spowiadałem przed i trochę po Mszy św. Jednemu widziało się za długie czekanie i odszedł. Odwiedziłem szkołę. Na pierwszym roku 25 dzieci, czytać się uczy 29. Przed obiadem dziewczynki przyszły się uczyć, a chłopców katechista wziął do lasu na patyki (zbierać chrust).

Katechista Johani przedstawił mi Kistę, która chce jutro ochrzcić dziecko. Po południu pojechałem do Muhwayi – sukursal Kininii. Myślałem, że jest tam O. Nazariusz. Nie zastałem go – jest w Kininii. Na podwieczorku miałem S. Bernardę – Polkę z Kininii. Była przejazdem. Dała mi trochę lekarstw. Trochę „posmarowałem, poowijałem” tych, którzy mnie przyszli odwiedzić. Poszli zadowoleni. Rozdają agrafki, cukierki. Chłopcom dają piłkę do grania.

21.02.1978 wtorek

Z Mpingi wyjechali prawie wszyscy na rekolekcje: O. Sylwan – Kiguhi, O. Elias – Nyamyaga, O. Nazariusz i ja bierzemy Toyotę i jedziemy do Mosso, Nazariusz zostaje w Gatare, a ja jadę dalej do Nunga. W Mpingi został tylko O. Teofil i Szwagier i dwa psy. Wczoraj wieczorem padał deszcz, dlatego droga jest ciężka, śliska. W Gatare pojechałem krótszą drogą i zaraz ugrzęzłem. Trzeba było gwizdać na chłopców i pchać. Przed rzeką znów ugrzęzłem. Mostek na rzece zalany wodą. Jakoś przejechałem i dojechałem z opóźnieniem na 10.00. Przyjechałem sam, bez boya. Abagabo n’abasore czekają, by rozpocząć swoje rekolekcje. Wyładuję trochę drzewek do sadzenia i rozpoczynamy pacierz poranny. Mówię – a raczej czytam – pierwszą naukę o Panu Bogu Stwórcy. Potem jest spowiedź. Po spowiedzi trochę różańca i Msza św. Na drugą naukę już nie było czasu. Powiedziałem ją na drugiej Mszy św.

Po południu przychodzą ludzie kupić lekarstwa; matki przynoszą chore dzieci, by im „pomazać” na oczy. Pod wieczór z tym, którzy jeszcze się „plątają” koło domu, odmawiam wieczorny pacierz i idę do domu. Zostaję sam z Panem Jezusem za ścianą w tabernakulum. Zatrzymała się S. Bernadeta (Polka), powracająca do domu z Kininia.

Na kolację ugotowałem sobie grochu z jarzynami. Idę spać o godz. 20.00. Robi się troszeczkę chłodno.

Środa

Drugi dzień rekolekcji dla abagabo n’abasore, jak zwykle rozpoczynam pacierzem, nauką, a po nauce część różańca.

Od godz. 9.00 – 10.00: naprawa mostka, wycinanie buszu pod sadzenie drzewek, zbieranie drzewa do kuchni, przynoszenie wody.

Godz. 10.00: druga nauka i Droga Krzyżowa. Po Drodze Krzyżowej niektórzy się jeszcze spowiadają i Msza św. z błogosławieństwem na zakończenie rekolekcji. Potem podpisy kartek chrześcijan, że odprawili rekolekcje. Na obiad przygotowuję na prędcę jajecznicę. Główny posiłek wieczorem, bo po południu mam więcej czasu na gotowanie. Przynoszą mi mętną wodę z rzeki. Do mycia dobra, ale do gotowania niezbyt – dlatego wybieram się z dziećmi czerpać wodę ze źródła. Po drodze spotykam Filipa z Gatare. Pytam, gdzie idzie. Mówi mi, że do mnie, bo O. Nazariusz zachorował. Daje mi kartkę. Rzeczywiście – pisze mi, że ma mocny atak malarii i żebym przyjechał. Pakujemy rzeczy i jedziemy do Mpinga. Zostawiam samochód w domu, a jutro pójdę do Nunga na nogach.

Czwartek

Rekolekcje dla kobiet i dziewcząt.

Z Mpinga wychodzę o godz. 6.30 rano. Idzie ze mną brat Witalisa (naszego robotnika z kuchni i ogrodzie). Po drodze spotykamy ludzi, którzy idą uprawiać na pole. Po drodze zaczyna padać drobny deszcz. Przechodzimy przez wezbraną rzekę. Kobiety zaczynają się schodzić. Trochę odetchnąłem i zaczynam brać się do „uprawy”. Nauki i porządek podobnie jak z mężczyznami. Na obiad katechista Johani udusił mi cebuli z ziemniakami i pomidorami. Nawet smaczne. Popołudnie mam wolne. Sprzątam koło domu, przygotowuję drzewo na jutro i kolację. Na kolację mam jajecznicę z grzybami – kupiłem je po drodze, kukurydza duszona z porami na maśle, herbata z mięty.

Ludzie przychodzą mnie odwiedzać. Pod wieczór z tymi, którzy jeszcze są koło mojego domu odmawiam wieczorny pacierz w kaplicy. Zostało mi jeszcze trochę modlitwy brewiarzowej.

Piątek

Zakończyłem rekolekcje w Nunga. Dzieci z katechumenatu i dzieci chrześcijan przychodziły rano z rodzicami. Co mogłem to robiłem, wspomagany przez Pana. Po południu miałem sadzić drzewka, ale było mocne słońce i zaniechałem. Szkoda, bo w nocy przyszedł deszcz i padał przez całą noc. Z Mpingi przyszedł Murzyn z wodą, bo tu jest mętna i niebezpieczna do picia.

Sobota

Pada deszcz. Na Mszy św. dzieci nie było dużo. Do popołudnia siedzę w domu. Pada ulewny deszcz. Nie da się sadzić drzewek – dopiero po południu mogliśmy to zrobić. Zasadziłem 35 grewil, 15 cedrów, 4 nefle.

Gdzieś przed godziną 15.00 odwiedza mnie agronom z Kinyiyna – Francuz Vincent z żoną Angelą i dwojgiem dzieci – Oliver i Sara. Wracają z Bujmbury – przywieźli mi trochę truskawek. Mówię im, że zamierzam iść do Muhwayi, ale mi przeszkodził deszcz. Proponują, bym jechał z nimi. Zamykam dom, zostawiam dwóch chłopców i jedziemy. Licznik samochodu pokazał, że z Nungi do Muhwadzi jest 12 km. Wypijamy kawę u Siostry Denis (Siostra Szarytka z Francji). Vincent jedzie do Kinyiny, a ja powracam pieszo do Nungi. S. Denis daje mi na drogę pięć szyszek kukurydzy. Po drodze spotykam Matiasa z Mpingi. Wraca na rowerze z Kinyiny. Był odwiedzić dyrektora szkoły podstawowej Zakarego – który jest rodem z Mpingi. Spróbowaliśmy jechać we dwóch – ale to okazało się niemożliwe z powodu błota. Matias jest dyrygentem śpiewu w kościele w Mpinga. Po drodze jedni się zatrzymują, by porozmawiać ze mną – inni uciekają. Nawet dwóch chłopców uciekło – nie podeszło się przywitać. Powiedziałem im, że nie tylko są starymi babami, ale również głuptokami – bo boją się człowieka. Narobiłem sobie strachu z dziećmi. Pasły kozy i barany. Jak mnie zobaczyły, pouciekały. Nawet jedno zostawiło podarty sweter. Podszedłem i podniosłem tę szmatę. Krzyczą, że ukradłem agahuyu i agahene, którą mam w plecaku. Poniosłem kawałek ten sweter i położyłem go przy drodze. Kiedy już odszedłem kawałek,

dzieci powychodziły z trawy na drogę i krzyczą, że ojciec mówi, że ukradł małą kozę. Nic sobie z tego nie robię i idę dalej. Za chwilę oglądam się i widzę, jak za mną pędzi Murzyn z umupangą (murzyński sierp tylko na długim drążku). Zaczął mnie ogarniać trochę strach – jest coraz bliżej mnie. Zacząłem już robić rachunek sumienia na wypadek, jakby mnie założył. Jak już był blisko mnie, witam go po kirundi – wiriwe. Pytam go o nowiny – mówi mi, że „w pokoju”. Pytam gdzie idzie? Zaczyna odpowiadać po kirundi. O, to gorzej, myślę sobie. Ogląda się ciągle wstecz. Patrzy pewno, czy nie ma ludzi, by mi przyszedli na pomoc. On idzie z jednej strony drogi, a ja z drugiej. Proponuję mu papierosa. Wzgardził. O, to już gorzej. Co gorsza zaczynają się odcinki drogi, gdzie nie ma domów ani ludzi – a więc miejsce idealne, by mnie założyć tą umupangą i w nogi. Zaczynam mu mówić, że jestem mocarzem, bo idę z Muchawayi na nogach, że nawet dwóch Murzynów przede mną uciekało. Mówię mu, że ty jesteś dobry człowiek, bo mi towarzyszysz w drodze. Pytam go gdzie mieszka i czy zna katechistę z Nungi. Mówi, że to Johani. Pytam, gdzie ten katechista mieszka, jaki ma dom. Odpowiedzi pokrywają się z tym, co wiem o Johanie. Ale ciągle jeszcze nie dowierzam. Pytam czy on ma dom z cegły, jak katechista Johani, czy ma żonę, ile dzieci „urodził” – co uprawia na polu. Ciągłe jesteśmy z daleka od siebie. On przekłada z ręki do ręki tę umupangę. Ja obmyślam cały czas obronę w razie czego. Albo go uderzyć w rękę – ale co zrobię z parasolem, albo mu błotem chlusnąć w oczy. Na przyszłość postanowiłem sobie zrobić mały pistolet z drzewa, bo widzę, że z Murzynami to nie przelewki, „sevus lody” jakby Szwagier powiedział. W każdym razie powiedziałem sobie, że nie będę uciekał – zginę to zginę. Wziąłem ze sobą trochę czystego spiritusu. Mam go w plecaku. Jakby przyszło do czego, to będę lał po oczach. W pewnym momencie mówi, że on już doszedł, że mieszka tam pod górką. Na pożegnanie podaję mu ostrożnie rękę. Skręcił w busz. Skoro mu powiedziałem, że jestem ibigangi – mocarz, to pewno poszedł szukać do pomocy innych Murzynów. Myślę, że się gdzieś dalej przyczają.

Gorsze, bo słońce już zaszło i robi się ciemno. Do Nungi doszedłem cały. Chłopcy wymietli popiół spod blachy i gotują maniok. Usmażyłem im do tego cebuli na oliwie, by sobie dobrze podjedli. Pytam ich, czy wracają do domu. Mówią, że nie, bo jest już ciemno – mówią, że chcą spać tutaj w kuchni. Zjadłem zupę – pomyłem garnki. Chłopcom daję mydło, by się pomyli. Poszedłem do siebie. Słyszę, że pobożne chłopaki, bo się modlą przed spaniem. Nie wypada, by ich ojciec usłyszał. Siedzę do godz. 23.00. Jakoś nikt po małą kozę nie przychodzi. Pada deszcz.

Niedziela

Jest tylko jedna Msza św. Katechista naliczył tylko 130 osób na Mszy św. Podczas kazania był dialog z katechistą Johanim. Po Mszy św. pakowanie rzeczy i powrót do Mpinga na nogach. Idzie ze mną siedmiu Murzynów. Woda w rzece ponad kolana. W celi zastaję małą, czarną świnkę jaką przywiózł O. Sylwan z Kiguhu.

12.10.1978 Czwartek

Jadę Toyotą z drzewem na budowę szkółki. Trochę się spóźniłem. Ponoć chrześcijanie przyszli, ale się rozeszli. Po obiedzie O. Sylwan odjeżdża na wakacje.

Spowiedź. Msza św. Po południu nabożeństwo różańcowe i błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem.

13.10.1978 Piątek

Spowiedź i Msza św. jak zwykle. Patrysty, z którym przyjechałem daje lekcje. Myśli wstąpić do naszego zakonu. Odwiedziła nas S. Bernarda z Kinyiny. Powróciła z wakacji, z Polski.

Sobota

Po Mszy św. jemy śniadanie z Siostrami z Kinuiny – są przejazdem do Ngozi. Patrysta uczy dzieci, a ja się trochę wałęsam.

15.10.1978, św. Teresy z Avilla

Msza św. z rana jak zwykle w niedzielę.

Safari uszczuplone o jeden dzień. Nie mogłem tu przyjechać wczoraj, bo było w Mpindze zakończenie wizytacji kanonicznej przez O. Prowincjała – O. Eugeniusza i erygowanie Nowicjatu. Dziś przyjeżdżam z opóźnieniem na godz. 9.00. Po drodze kłopoty z mostkami poniszczonymi przez wodę. Trzeba wyładowywać rzeczy z samochodu, szukać drzew, by przejechać. Kaplica jeszcze stoi. Wiatr zerwał blachę. Mury z suszonej cegły pękają. W katechumenacie gromadka dzieci. Przed kaplicą czekają wierni na księdza, który przybywa po dwóch miesiącach. Jest ich niewielu, bo w pobliżu jest targ. Poszli szukać soli.

Obok zbudowano szkółkę z gliny pod trawą. Jest to pierwsza klasa utrzymywana przez misję w Mpinga. Zaczynam jak zwykle od spowiedzi. Potem Msza św. Dzieci proszą o książeczki do czytania. Nie przywiozłem, bo nie ma. Kościelna drukarnia nie jest w stanie dorównać potrzebom. Po południu myślę jechać do Ruyigi po wino mszalne, przyznane na nowy rok 1979.

Na obiad mam murzyńskie grzybki – coś w rodzaju pieczarek.

W Ruyigi zastałem remanent. Mimo wszystko Siostry Denisówki wydały mi wino, na co się zdenerwował O. Ekonom. W drodze powrotnej wstępuję do Muliza. Jest tam na zastępstwie ks. Józef Darwe. Zastanawiam się, co zrobić z winem. Zdecydowałem zawieść do Musongati. Wracam do Nunga o godz. 19.00.

Sobota

W nocy budzą mnie jakieś rozmowy. Wychodzę i zastaję Murzynów z rowerami, obładowanymi rzeczami. Są to przemytnicy rzeczy z Tanzanii. Zanocowali w szkółce.

Wyszedłem bez obawy, że mnie zamordują. Wiem, że głośna rozmowa u Murzyna w nocy jest oznaką, że w pobliżu znajduje się człowiek pokoju. Złodzieje czy ludożercy przychodzą w milczeniu.

Z rana jest trochę ludzi do spowiedzi św. Mszę św. odprowadzam o 9.00. Wieczorem zapowiedziałem, że chcę zaopatrzyć Sakramentem św. chorych w Nunga. Powiedzieli mi dziś, że wszyscy są zdrowi. Był jeden chory, ale sam przyszedł. Odwiedziłem dzieci w klasie a potem obieram grzyby, by je wysuszyć.

Po południu pada deszcz. Siedzę w domu przeglądając jutrzejsze Słowo Boże. Ktoś puka. Wychylam głowę i widzę przemokniętą do nitki kobietę, która prosi o spowiedź. Ku wieczorowi znów inna wraca z pola zmoknięta i też prosi o spowiedź. Nie ma takich gorliwych chrześcijan dużo, ale są. Prosi mnie również o proszki przeciwko malarii. Dałem jej. Za chwilę przychodzi i daje mi parę szyszek kukurydzy, które zebrała w polu. Bez żadnych oporów z jej strony dałem jej jeszcze sweterek dla dziecka. Ogromnie zadowolona zapewnia, że mi jutro przed Mszą św. przyniesie jeszcze świeżej kukurydzy, bo wie, że my to lubimy. A więc kolację już mam. Daję boyowi, by mi ją teraz opiekł. Opowiada mi, że kukurydza jest znakiem, że święta Bożego Narodzenia są blisko. Dodaje, że u nich nie ma Świąt Bożego Narodzenia bez kukurydzy. Coś jak u nas bez ryby. Kontynuuje dalej i mówi, że bogaci zabijają kozę – ale tylko niektórzy tak czynią, gdyż bogatych nie ma wielu.

Zatrzymuje się samochód. Wybiegam. S. Szarytka – Maria Józefa – wraca do domu, do Kinyinya. Mówi mi, że po drodze obrzucili ją chłopcy kamieniami, ma jednak – mówi – szczęście, bo nic nie rozbili. Zaprasza na któryś dzień Bożego Narodzenia.

Niedziela

Na pierwszej Mszy św. wierni nie mogą pomieścić się w kaplicy.

WDZIĘCZNOŚĆ BURUNDI DLA SWOICH OFIARODAWCÓW

Dnia 10 grudnia 1978 roku w Musongati miała miejsce miła uroczystość wdzięczności, z powodu odjazdu z Burundi Konsula Szwajcarii, który nam pomagał w dożywianiu opuchniętych z głodu dzieci i budowie nowego szpitalika. Przy tej okazji został położony kamień węgielny pod budowę nowego szpitalika.

Na uroczystości tej był również nasz Ojciec Prowincjał i Ojciec Bronisław. W przeddzień przybył Konsul Jan Bonvin z żoną i jedną siostrą Szwajcarką – S. Elżbietą. Przybył także architekt czuwający nad budową – Szwajcar z żoną i dziećmi.

W niedzielę rano, 10 grudnia, przyjechał ks. biskup Ruhuna i wojewoda z wójtem i sołtysem oraz jego pomocnikami. Uroczystość rozpoczęła się Mszą św., w czasie której został poświęcony duży kamień z napisem: „Centrum Zdrowia w Musongati 10.12.1978 r.” Po Mszy św. ks. biskup, konsul i wojewoda dokonali wmurowania tego kamienia. Następnie rozpoczęły się tańce, bez których żadna uroczystość się nie obejdzie. Tańczyły wszystkie

stany: ojcowie rodzin, młodzieńcy, panienki pracujące przy chorych i uczące się w szkółce gospodarczej. Mężczyźni tańczyli w strojach regionalnych z lancami i błyszczącymi blaszkami na nogach i rękach oraz paskami krzyżującymi plecy i piersi. Zapowiadacz zawodził wysokim głosem, a trębacz i fujarka mu wtórowały (trębacz posługiwał się rogim zwierzęcym – krowim). Dzieci śpiewały. Najbardziej ujmującym momentem było wręczenie konsulowi miseczki wystruganej z drzewa przez małe dziecko. Po występach rozpoczęły się przemowy: wojewody, ks. biskupa, konsula i sołtysa.

Po uroczystościach spostrzeżliśmy grupę ludzi, która nie zabierała się do odejścia. Zbliżyli się do siostry mówiąc: „myśmy jeszcze nie podziękowali od siebie”. Były to matki dożywianych dzieci. Weszły na podwórko naszych Ojców – nie śmiały występować publicznie. Tam czekały, aż goście zjedzą posiłek i dopiero tańczyły i śpiewały samemu konsulowi. Był to taniec „dziki”, ale każdy z gestów miał swój wyraz.

Po odjeździe gości przystąpiliśmy do normalnego porządku. W najbliższy czwartek – dziś: badania obrzękniętych z głodu dzieci i dorosłych, a także sierotek – matki poddyktowały jednej z pracownic umiejącej pisać list, prosząc, by go doręczyć odjeżdżającemu za cztery dni konsulowi. Dziękując przykładaly z zamachem swoje palce na kartkę papieru. Dziękowały według swoich zwyczajów, choć nie umiały pisać. Załączamy jego tłumaczenie.

My misjonarze także podpisujemy się pod nimi całym sercem i razem z nimi dziękujemy naszym Ofiarodawcom, którzy nam pomagają w ulżeniu ich niedoli.

S. Zygmunta

Tłumaczenie listu Rodziców do Konsula Szwajcarii Jana Bonvin, który pomagał w dożywianiu ich obrzękniętych z głodu dzieci.

Musongati – 18 grudnia 1978 r.

Panu
Konsulowi Szwajcarii Janowi Bonvin.

Szanowny Panie!

Wszyscy, biorący udział w ratowaniu niedożywionych dzieci i my, pracownicy Centrum Zdrowia w Musongati pozdrawiamy Pana serdecznie.

Już minęło około 9 lat, jak Pan jest w Burundi i nasze dzieci dobrze znają Pana imię.

Dowiedzieliśmy się, że czas pobytu Pana w Burundi dobiega końca i żalujemy tego bardzo. Choć wiemy, że nie można zostawić na zawsze swojej Ojczyzny, to byśmy chcieli zrobić wszystko, żeby Pan został w Burundi jeszcze choć kilka lat.

Pragniemy podziękować i nawet napisać książkę, by w niej wyrazić naszą wdzięczność jednogłośnie.

Odległość między Szwajcarią i Burundi jest wielka. Gdyby to było bliżej, moglibyśmy złożyć Panu wizytę jako wyraz podziękowania. Ale ta odległość będzie skrócona przez nasze modlitwy.

Niech Bóg opiekuje się Panem i Jego Rodziną przez całe życie!

Kończąc życzymy Panu szczęśliwej podróży i szczęśliwych Świąt Bożego Narodzenia oraz Nowego Roku 1979. Niech ten Nowy Rok będzie dla Pana rokiem mlekiem i miodem płynącym.

Z wyrazami naszego głębokiego szacunku

podpisy pracowników
i palcówki niepiszących rodziców

Przemówienie Konsula Szwajcarskiego, Jana Bonvin w Musongati, Burundi wygłoszone dnia 10.12.1978r. z okazji uroczystości położenia kamienia węgielnego pod budowę Centrum Zdrowia.

Uroczystość ta została zorganizowana z okazji jego ostatecznego odjazdu z Burundi, po 8-letnim pobycie i pracy jako Konsula Szwajcarii i profesora, a zarazem rektora uniwersytetu w Burundi.

Ten właśnie Konsul w duchu charytatywnym wystarał się o budowę tegoż Centrum, a także pomógł nam finansowo w jego budowie.

Szanowny Panie Wojewodo (Przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej),
Ekscelencjo (Księżę Biskupie),
Szanowny Panie Komisarzu (Przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej),
Szanowny Panie Sołtysie (Przewodniczący Gminnej Rady Narodowej),
Przewielebny Ojczce Prowincjale,
Czcigodni Ojcowie i Siostry,
Ukochani Przyjaciele!

Udział w tak nieoczekiwanej (niespodziewanej), a zarazem przyjemnej uroczystości położenia kamienia węgielnego pod Centrum Zdrowia w Musongati jest dla mnie zaszczytem i zarazem wielką radością. Pragnę, jeśli pozwolicie wyrazić w prostych słowach płynących z serca, radość mojej żony i moją z powodu naszego spotkania w Musongati, na kilka dni przed naszym ostatecznym odjazdem do Europy. Czujemy się otoczeni naszymi najlepszymi przyjaciółmi i osobami, które tak bardzo cenimy.

Trzy lata temu, w styczniu 1975 r. przejeżdżałem pierwszy raz przez tę okolicę wraz z Sędzią Federalnym, Kaufmanem i jego żoną. Przypadek lub Opatrzność sprawiła, że w tym samym miejscu, gdzie jesteśmy zebrani dzisiaj, spotkaliśmy Siostrę Kaszubę wraz ze współsiostrami, które urzekły nas od pierwszej chwili swoją wspańałością serca i ducha w służbie ludu Musongati.

Wobec przykładowego zaangażowania Jego Ekscelencji, ks. biskupa Ruhuny, który nas przyjął serdecznie w przeddzień na biskupstwie w Ruyigi i jego uderzającej troski o

polepszenie bytu ludności jego diecezji, wobec głębokiego poświęcenia Ojców i Sióstr, Polaków w Musongati, nie mogliśmy zostać obojętni i nie włączyć się w tę rozpaloną akcję.

Właśnie tak narodziła się nasza współpraca, realizowana dziś przez budowę Centrum Zdrowia, które będzie siłą żywotną w rozwoju ludności Musongati i okolic.

Niech mi będzie wolno, Panie Przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej powiedzieć Wam, a także Waszym doradcom i współpracownikom, jak bardzo doceniamy Wasze skuteczne poparcie, które niesiecie Siostram i Ojcom Polakom w Musongati, którzy są w pośrodku tego dzieła. Wasze zaangażowanie osobiste jest wielkim bodźcem dla wszystkich, którzy z bliska i z daleka włączają się w budowę tego Centrum.

Cieszymy się z obecnego tutaj pana architekta Remondio i jego rodziny. W imieniu Organizacji „Ziemi Ludu” i Szwajcarskiego Związku Technicznego pragnę mu podziękować za bezinteresowne poświęcenie swojego doświadczenia i talentu architekta na służbę tej akcji.

Jak wiecie, budowa jest prowadzona przez grupę rzemieślników i robotników Burundi pod przewodnictwem Brata Marcelego, który ze swą ekipą budzi podziw wśród wszystkich, którzy są świadkami tego dzieła.

W imieniu Organizacji „Ziemi Ludu” i Szwajcarskiego Związku Technicznego niech mi będzie wolno złożyć wyrazy szacunku przedstawicielom Rządu Burundi, przedstawicielom Ministerstwa Zdrowia i ich współpracownikom, dzięki którym to cudowne dzieło dla rozwoju kraju mogło być realizowane.

Panie Przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej (Wojewodo),
Ekscelencjo (Księżę Biskupie),
Przyjaciele!

Przyjęcie, jakie nam urządziliście wraz z Ojcami i Siostrami z Musongati do głębi nas wzruszyło i bardzo za nie dziękujemy.

Obłóczyny Brata Cyryla, 17 grudnia 1978 r.

Kazanie O. Teofila 17 grudnia 1978 r. w kościele Matki Bożej Różańcowej w Mpindze – Burundi podczas obłóczyn Brata Cyryla.

Braci i Siostry w Chrystusie!
Dzieci Boże!

Jakież to pragnienie sprawiło, że zebraliśmy się tak licznie w domu Bożym, o tak niezwykłej porze?

Wiem, pragniecie dzielić z nami – z N. O. Prowincjałem, z Ojcami i Siostrami, z osobami poświęconymi Bogu – pragniecie z nami dzielić radość, która przepelnia nasze serca, radość, która płynie z ceremonii rozpoczęcia nowicjatu w naszej karmelitańskiej rodzinie zakonnej.

Widzimy tu jednego spośród Was, który wyznaje w obliczu Kościoła św., że pragnie poświęcić się całkowicie Bogu.

Widzimy człowieka wybranego przez Boga.

Przy tej okazji trzeba przypomnieć, że w rzeczywistości to każdy człowiek został wybrany przez Boga, że każdemu z nas Bóg uczynił wielkie rzeczy, wybierając nas, byśmy należeli do Niego, byśmy byli Jego umiłowanymi dziećmi.

Kiedyż to Bóg nas wybrał? – Bóg wybrał nas już bardzo dawno. Św. Paweł zapewnia nas o tym, mówiąc: „Niech będzie błogosławiony Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, który napełnił nas wszelkim błogosławieństwem duchowym na wyżynach niebieskich – w Chrystusie. W Nim bowiem wybrał nas przed założeniem świata, abyśmy byli święci i nieskalani przed Jego obliczem. Z miłości przeznaczył nas dla Siebie jako przybranych synów przez Jezusa Chrystusa, według postanowienia Swej woli, ku chwale majestatu Swej łaski, którą obdarzył nas w Umiłowanym.¹”

Bóg wybrał nas zatem przed stworzeniem świata, od bardzo dawna... Jeszcze świat nie był stworzony, a my już byliśmy w myśli Bożej, już istnieliśmy w Bożym Sercu. Bóg zechciał nas mieć, bo nas umiłował i dlatego nas stworzył. Bóg powodowany swoją mądrością i miłością „to, co nie istnieje, powołuje do istnienia.”²

Po raz pierwszy zatem Bóg powołał nas, wybrał nas, stwarzając każdego z nas. To pierwsze wybranie, wybranie z niebytu do bytu, dzielimy z innymi ludźmi, owszem dzielimy ze wszystkimi stworzeniami. Niemniej jednak każdy z nas powinien nieustannie dziękować Bogu za tę nieocenioną łaskę. Tak, to prawda, Bóg stwarza wszystkich ludzi, ale w rzeczywistości stwarza każdego z osobna i do każdego z osobna mówi „Oto mój sługa, którego podtrzymuję, wybrany mój, w którym mam upodobanie. Sprawilem, że Duch mój na nim spoczął...”³

Dałem mu Ducha mojego – mówi Bóg. W rzeczywistości bowiem, Bóg stwarzając nas, upodabnia nas do Siebie. Możemy poznać i możemy kochać – jak sam Bóg. Bóg nas stworzył. Jesteśmy Jego własnością. On nas umiłował. On troszczy się o nas, ani na chwilę nie spuszcza z oka, nieustannie podtrzymuje nas Jego prawica, bo po prostu stwarza nas w każdej chwili. Ani ułamek sekundy nie minie, w którym Bóg zaprzestałby nas stwarzać.

Bóg stwarza nas nieustannie, nieustannie wydobywa nas z niebytu, nieustannie wybiera z niebytu, bo nas kocha. To jest właśnie to pierwsze „wybranie” – stworzenie.

Po raz drugi wybrał nas Bóg spośród wszystkich bytów stworzonych w chwili naszego chrztu św. W tej to chwili obdarzył nas nowym życiem w Chrystusie, Swoim Synu. Od dnia chrztu św. trwamy w Jezusie Chrystusie. Bóg nie widzi nas inaczej, jak tylko w Synu Swoim, bo jesteśmy członkami Jezusa Chrystusa. Rzeczywiście, od chwili chrztu św. posiadamy nowe życie, życie samego Boga, życie przyniesione nam przez Chrystusa. Jesteśmy nowymi stworzeniami. Co więcej – jesteśmy umiłowanymi Dziećmi Bożymi w Jezusie Chrystusie. Tajemnice Bożej miłości są niewysłowione, wspaniałe! Jesteśmy Bożymi Dziećmi, jak Jezus

1 Ef. 1, 3-6

2 Rz. 4, 17

3 Iz. 42, 1

Chrystus. Różnica jest tylko jedna: On jest Bożym Dzieckiem dzięki boskiej naturze, którą posiada na równi z Ojcem. My natomiast jesteśmy Bożymi Dziećmi dzięki Bożej łasce, dzięki darowi łaski, dzięki Bożej miłości. To chrzest św. uczynił nas Bożymi Dziećmi i czyni Jego Dziećmi w każdym momencie. To właśnie jest drugim „wybraniem”.

Spośród wszystkich Bożych Dzieci, spośród wszystkich ochrzczonych, Pan nasz Jezus Chrystus wybiera niektórych szczególniejszym wybraniem, aby byli Jego naśladowcami, aby byli Jego wyłącznymi przyjaciółmi, przyjaciółmi, którzy przewyższają wszystkich innych w miłości. Pan nasz wybiera ich, aby trwali przy Nim, aby następnie mógł ich posłać z orędziem miłości Bożej do ludzi. To jest to trzecie, szczególne wybranie, którym dzisiaj się radujemy.

Pierwszym obowiązkiem tych szczególnie wybranych jest trwanie przy Panu, aby Go mogli doskonale poznać, aby Go mogli wiernie naśladować we wszystkim, aby w nich były te same uczucia, które są w Chrystusie Jezusie, aby ogień miłości płonący w Sercu Jezusa, płonął nieustannie także w ich sercach.

Pierwszym wzorem w ten sposób wybranych jest Jezus Chrystus. To On wskazuje im, w jaki sposób powinni kochać Boga i ludzi. Już jednak od dawna ci wybrańcy Boży spoglądali także na świętych, bo to właśnie oni pokazywali nam, jak w różnych warunkach życia powinniśmy naśladować Jezusa w miłości. Jedni z wybranych przez Boga usiłowali naśladować św. Augustyna, inni św. Dominika, inni św. Franciszka, św. Benedykta, a jeszcze inni św. Teresę. Stąd właśnie w Kościele świętym mamy liczne, różne rodziny zakonne. Także w Burundi – jak to sami dobrze wiecie, mamy Zgromadzenia: Córek św. Teresy, Córek Maryi, Córek Pana, Synów św. Józefa, Synów św. Pawła...

Obecny przed nami Brat Cyryl Barutwanayo wybiera dzisiaj jedną z tych licznych w Kościele rodzin zakonnych, wybiera rodzinę Matki Bożej z Góry Karmel. Ci, którzy wstępują do tej rodziny zakonnej usiłują naśladować we wszystkim Maryję, aby tak kochać Jezusa, jak umiłowała Go Jego własna Matka. Nie ma miłości, która by tej miłości dorównała.

Następnie, wstępujący do Karmelu, usiłują naśladować św. Teresę z Avilla, św. Jana od Krzyża, św. Teresę od Dzieciątka Jezus i wielu innych świętych, którzy idąc ścieżkami Karmelu wytyczyli nam wspaniałą drogę miłości, drogę doskonałości, drogę świętości. Ta droga doskonałości była zawsze doceniana w Kościele św., ale szczególnie została doceniona w ostatnich czasach, kiedy to papież Paweł VI ogłosił św. Teresę z Avilla Doktorem całego Kościoła św.

W dniu dzisiejszym nasz Brat Cyryl stawia pierwszy krok na tej wspaniałej drodze. Dzisiaj rozpoczyna nowicjat w rodzinie karmelitańskiej. Co to znaczy? To znaczy, że pragnie przez cały rok modlić się, prosić Boga, rozważać życie świętych Karmelu, pragnie pytać samego siebie, pytać innych i pytać przede wszystkim Boga, by mógł dokładnie zrozumieć czego od niego domaga się Bóg i by mógł nabrać w obcowaniu z Panem takiej mocy ducha, aby poznaną Wolę Bożą mógł przez całe życie doskonale wypełniać i w ten sposób stać się doskonałym uczniem Jezusa Chrystusa.

Bracia i Siostry w Chrystusie, dzisiaj i przez cały ten rok wstawiajmy się często za Nim u Boga.

Tobie Bracie Cyrylu – w imieniu N. O. Prowincjała, w imieniu obecnych tu Braci i Sióstr zakonnych, w imieniu zabranych tu wiernych – całym sercem życzę obfitych łask i błogosławieństw Bożych!

Zachowaj na zawsze w sercu swoim te słowa: „Miej ufność w Panu i czyń, co dobre... Raduj się w Panu, a On da Tobie, czego żąda Twe serce... Powierz Panu Twą drogę, Jemu zaufaj... Oddaj wszystko Panu w sprawiedliwości i oddaj Mu wszystko radośnie, bo Pan miłuje radosnego dawcę, miłuje sprawiedliwość i nie opuszcza nigdy miłujących Go...⁴” Oddaj wszystko Panu bez obawy, bo sam Pan zapewnia: „Każdy, kto dla mego imienia opuści dom, braci i siostry, ojca lub matkę, dzieci lub pole, stokroć tyle otrzyma i życie wieczne odziedziczy.⁵” Amen.

Przemówienie Brata Cyryla od Dzieciątka Jezus, pierwszego Nowicjusza Karmelity Bosego w Mpindze w Burundi – Afryka.

Drodzy tutaj zebrani!

Czcigodny Ojciec Prowincjale, który przyjechałeś do nas z dalekiej swojej ojczyzny – z Polski. Drogi Ojciec Teofilu, który wróciłeś do nas po odwiedzeniu swoich najbliższych. Drogi Ojciec Przeorze z Mpingi i Musongati, wszyscy Ojcowie i Siostry oraz goście tutaj zgromadzeni. Pokój Chrystusa z Wami. Wiemy wszyscy, co Was tutaj zgromadziło.

Drodzy Przyjaciele. Pragnę Wam oznajmić, że jestem bardzo szczęśliwy w tym dniu. Stałem się zakonikiem. Wszystkich tu obecnych proszę o pomoc modlitewną, bym dobrze Bogu mógł służyć. Chciałbym najpierw podziękować mej matce, która mnie wydała na świat i wychowała. Bardzo proszę, byście jej za to podziękowali oklaskami. Dziękuję też wszystkim, którzy jej pomagali mnie wychować, którzy starali się pomóc mi wejść na drogę Chrystusową, im także wyrażmy naszą wdzięczność oklaskami. To Matka pierwsza ofiarowała mi Bogu. Teraz czynię to sam. Zaczynam obecnie stawiać pierwsze kroki w życiu zakonnym. Ufam, że wytrwam wspomagany Waszymi modlitwami. Ale jak mówi nasze przysłowie „jedno dziecko nie tworzy jeszcze pełnej rodziny”. Dlatego proszę Was o modlitwę, by innych młodzieńców także Bóg powołał, by przyszli służyć Bogu razem ze mną.

Wszyscy Najbliżsi tutaj zgromadzeni. Jak słyszeliście przed chwilą w kościele, że oddanie się Bogu to nie tylko wstąpienie do zakonu. Przede wszystkim zaufanie Chrystusowi – to jest oddanie się Bogu. Jestem szczęśliwy, że mogę to zaufanie spełnić w habicie zakonnym. Pierwsza rzecz to zaufać. Jeżeli zaufasz, wtedy Chrystus może dać człowiekowi wszystko, co pragnie.

Nie mogę dziś dużo mówić, bo wielu z Was przyszło z daleka, więc muszą się spieszyć do domu. Drodzy Przyjaciele, mimo, że wstąpiłem do zakonu, nie osiągnąłem jeszcze celu, dopiero zaczynam dążyć do niego. Teraz stawiam pierwsze kroki. Nie jestem jeszcze doskonałym człowiekiem. Proszę Was, módlcie się za mnie do Chrystusa Króla. Ja za Was też będę się zawsze modlił, ale moje modlitwy wówczas będą zanoszone do Boga, gdy

4 Por. Ps 36 i 2 Kor. 9,7

5 Mt. 19,29

będę w zakonie, a w tym Wy musicie mi pomóc Waszymi modlitwami. Módlmy się wspólnie za siebie. Jeszcze raz powtarzam, nie wystarczy, żebym ja sam wstąpił. Inni powinni pójść za mną.

Kończąc, dziękuję jeszcze raz gościom z Polski, że trudzili się tutaj przyjechać z daleka i zaszczyścić nas wszystkich.

Dziękuję Ojcu Prowincjałowi – jestem teraz Twoim dzieckiem.

Listy Ojców Misjonarzy:

List O. Nazariusza Kwiatkowskiego:

J.M.J.T.

Mpinga 11.03.1978

Drodzy Przyjaciele!

Wiele miesięcy upłynęło od chwili, gdy podzieliłem się z Wami moimi pierwszymi wrażeniami z pobytu w Burundi. Nie będę się specjalnie tłumaczył, zwłaszcza, że mogłem gdzieś wykroić trochę czasu na jakiś krótki list. Dziękuję Br. Stanisławowi Piętce, za okolicznościowy numer „Echa Misyjnego”. Bardzo się nim ucieszyłem (ja i O. Bartłomiej), choć nasze apetyty nie zostały w pełni zaspokojone.

Czekam, byście przesłali nam od czasu do czasu jakiś numer zwyczajny, z którego moglibyśmy dowiedzieć się coś na temat Waszej aktualnej pracy we Wspólnocie Misyjnej. Wierzcie nam, że jesteście w dalszym ciągu zainteresowani Waszą pracą, aktywnością Wspólnoty, która wykrystalizowała się i w jakiś sposób utrwaliła nasze wielkie powołanie misyjne.

Bo to powołanie jest rzeczywiście wielkie. Nie ze względu na to, że akurat dotyczy nas, ale dlatego, że pochodzi od samego Jezusa. Tu jest miara jego wielkości, nawet w wypadku, gdy powołani – tacy jak my, niedoskonali – nie stają na wysokości wielkiego zadania.

W liście Staszka padło kilka pytań. Jak wygląda nasza praca? Jak sobie radzimy z językiem? Jakie są zwyczaje tutejszych ludzi? W jakim stopniu ułatwiają one prace misyjną? W jakim stopniu zaś ją utrudniają?

Takich pytań można by stawiać dziesiątki. Mógłbym postawić je sam sobie, czytając w Waszych myślach i dedukując z Waszych szerokich zainteresowań. Wierzcie mi jednak, że odpowiedzieć na nie wszystkie byłoby mi dość trudno. Ograniczę się więc do pytań, które wyżej zamieściłem za Waszym kolegą. Z pewnością nie będzie to pełna odpowiedź – na taką mnie jeszcze nie stać (zainteresowanych odsyłam do listów O. Teofila Kapusty). Ot, po prostu kilka spostrzeżeń na każde z tych pytań.

Nasza praca, to po prostu praca kapłańska na terenie, o którym zwykle się mówić – misyjny. Głoszenie Słowa Bożego, szafarstwo Sakramentów – to nasza podstawowa praca. Rozbudowa parafii w sensie materialnym pociąga za sobą dodatkowe prowadzenie różnych

budów: kościoły, katechumenaty, budynki formacji socjalnej, szkoły... Najzwięźlej, to właśnie to. A szczegóły?

Nasza parafia Mpinga (mówię o parafii, w której ja pracuję, jest bowiem jeszcze jedna polska, karmelitańska misja w Musongati) liczy ponad 13 tysięcy ochrzczonych na ponad 40 tysięcy mieszkańców (około 30%). Do misji centralnej w Mpinga należy siedem stacji misyjnych rozrzuconych w terenie, do najdalej położonej trzeba jechać blisko 50 km.

W misji centralnej parafianie mają zapewnioną posługę duszpasterską przez cały czas. Zawsze w misji jest kapłan, czasem nawet kilku. Stacje pomocnicze staramy się odwiedzać raz na miesiąc. Jeden z misjonarzy udaje się więc do niej i spędza tam cztery dni (od czwartku do niedzieli). Nazywamy to „safari”. Z prawdziwym „safari” ma to tyle wspólnego, że często pokonuje się dziesiątki kilometrów w kurzu... lub w obfitym błocie. Będąc na takim „safari”, misjonarz odprawia codziennie Mszę św., głosi Słowo Boże, spowiada, odwiedza katechumenów i chorych, wizytuje chrześcijan u nich samych. „Safari” kończy się w niedzielę Mszą św. Gdy są małe dzieci, niemowlęta, udziela się im chrztu. Katechumeni otrzymują chrzest raz lub dwa razy do roku w samej parafii. By go otrzymać, uczęszczają minimum cztery lata do katechumenatu.

Sakrament małżeństwa, bierzmowania, ma miejsce w kościele parafialnym.

Obecnie jesteśmy w okresie Wielkiego Postu. Podobnie jak u nas w Polsce, jest to okres wytężonej pracy duszpasterskiej. Wszędzie, w każdej stacji misyjnej oraz w misjach centralnych głosi się rekolekcje wielkopostne.

Takie rekolekcje zabierają na ogół 6 dni. Dwa dni dla dorosłych, dwa dla młodzieży, dwa dla dzieci. Kończy się to w niedzielę Mszą św. Tak jest na stacjach pomocniczych, gdzie jest niewielu chrześcijan. Na większości stacjach i na samej stacji misyjnej trzeba jeszcze bardziej dzielić, by podołać w spowiedzi. Osobno więc mają rekolekcje mężczyźni, kobiety, chłopcy, dziewczęta, osobno dzieci szkolne, katechumeni – dzieci, uczęszczające na lekcje religii lub przygotowujące się do chrztu św. Jak widzicie pracy nie brakuje. W ubiegłym roku, ze względu na niewystarczającą znajomość języka, pomagaliśmy tylko w spowiedzi. W tym roku sami prowadzimy już rekolekcje. Ja np. skończyłem przedwczoraj drugą serię i we wtorek czeka mnie trzecia seria rekolekcji. W sumie trzy tygodnie. Wiele godzin spędzonych „w konfesjonale” (piszę w „konfesjonale”, ale nie wszędzie je mamy, przynajmniej takie o jakim mamy wyobrażenie), wiele godzin konferencji, oczywiście w kirundi.

I tu pora by dotknąć, poruszyć problem znajomości języka. By nie łudzić Was, powiem od razy, że znamy go bardzo mało, co nie znaczy, że nie potrafimy posługiwać się nim jako tako. Po prostu język jest bardzo bogaty, że trzeba wielu lat, by go poznać, co więcej, by się nim dobrze posługiwać. Znam go na tyle, że potrafię dogadać się z ludźmi, rozumiem ich przy spowiedzi, z pomocą kartki potrafię przekazać im przygotowane uprzednio rozważanie nad Słowem Bożym. By pozwolić sobie na swobodną rozmowę, okraszoną żartami i przysłowiami, jeszcze nie czas. Ale to przyjdzie – jak mówią tutejsi ludzie „Buke buke bukomezi igihonyi”, „Izo zose zibika z’ar’amagi”, co w bardzo luźnym, dowolnym tłumaczeniu przypomina nasze „Nie od razu Kraków zbudowano”.

Nasi wierni zdają sobie sprawę z tego, że nie znamy dobrze kirundi. Dlatego też w rozmowie z nami używają języka jakby „uproszczonego”. Kiedy rozmawiają ze sobą mówią bardzo szybko prawdziwym kirundi. Jasną jest tedy rzeczą, że wówczas wielu słów nie

chwytamy, nie rozumiemy, co mówią. Mam na myśli nas młodych. Starsi radzą sobie lepiej, ale nie skłamię, jeśli napiszę, że i oni bardzo często mają trudności, by ich zrozumieć.

Język, tzn. znajomość języka gra tu wielką rolę, ale nie to decyduje o powodzeniu naszego posłannictwa. Liczymy przede wszystkim na działanie łaski.

Język to klucz do poznania zwyczajów. Dlatego też znajomość zwyczajów idzie w parze z tym pierwszym.

Życie tutejszych ludzi związane jest z rytmem przyrody. Dlatego jest bardzo regularne i spokojne. Życie codzienne jest mierzone przez zegar jakim jest słońce. Kiedy pierwsze blade promienie słońca wystrzelają spoza horyzontu dokłada się pospiesznie do wygasłego ogniska. Nieraz trzeba długo grzebać, by znaleźć....

Niedokończony list O. Nazariusza Kwiatkowskiego. Zaczął pisać, ale inne prace przerwały jego dobre zamiary. Będąc w Burundi dał mi go mówiąc: zobacz, bo byś nie uwierzył, że naprawdę pisałem.

O. Bronisław

Listy O. Bartłomieja Kurzyńca:

„Zawitaj Matko Różańca Świętego”

Mpinga-Nunga 15.10.1978r.

Najdrożsi Rodzice , Siostru Elu!

Pochwalony Jezus Chrystus. Tato, wybacz, że się spóźniłem na Twoje Imieniny. Tak mi wypadło, że dopiero dziś mam okazję spotkać się z Wami. W samym dniu św. Franciszka świętowałem. Pamiętałem we Mszy św. oraz składałem życzenia. Na wieczór miałem serowiec i piwo. Imieniny się odbyły. Otrzymałem od Was wiadomości, które mi przesłał chyba O. Albin z Wadowic. Od Was listy nie dochodzą. Już prawie rok, jak nie mam listu. Ten list pošlę na adres O. Teofila, a On Wam prześle.

Dziś mamy niedzielę. Jest ranek, chłodno – słońce obchodzi naszą ziemię misyjną, zagląda do zagród i zbiera nocne wiadomości i wydarzenia. Zagląda i do mojej kapliczki w Nunga. Zastaje mnie przy pisaniu listu. Radio podaje mi, że Kardynałowie dziś zebrali się w Rzymie, by wybrać nowego Ojca Świętego. Będziemy się modlić z naszą gromadką chrześcijan tutaj w Burundi o dobry wybór Papieża i by nowy Ojciec św. żył trochę dłużej niż Jan Paweł I – Papież uśmiechu, jak Go nazywali. Spędziłem tutaj cztery dni.

Jestem z młodym Murzynem, który myśli powiększyć naszą wspólnotę misyjną jako nasz brat zakonny. Dzielimy razem naszą pracę duszpasterską. Rano przygotowujemy coś do zjedzenia. Potem mamy modlitwę brewiarzową oraz Mszę św. Ja spowiadam, On uczy dzieci. Potem jest zawsze coś do roboty, jak: naprawić drzwi, poprawić dach, bo deszcz już blisko, no i coś przygotować na obiad: groszek okrągły, kasza, zupa jarzynowa, groch na boczku.

Muszę się pochwalić, że powoli podkształciłem się na rzeźnika. W tym roku zabiliśmy dwie świnię. No, ale to margines życia misjonarza.

W tej chwili zaczynają przychodzić chrześcijanie na Mszę św. Katechista przygotowuje czytanie Pisma św. W drzwiach widzę kobietę z zapuchniętymi oczami. Szuka maści. Inny znów czeka, by mu zrobić opatrunek zaropiałej nogi. Rany afrykańskie są okropne. Ktoś inny przyniósł mi grochu z nadzieją, że otrzyma trochę soli lub jakąś szmatkę. Wieczorem przez te dni naszego pobytu w buszu odprawialiśmy nabożeństwa różańcowe. Przychodzili wszyscy chrześcijanie i poganie. Sąsiadem tej szkółki – kaplicy jest mężczyzna, który ma tylko cztery żony. Jeden Murzyn mi mówi, że kobiety jedna przed drugą dają mu do jedzenia murzyńskie czary, różne zioła i wywary, wierząc w ich wielką siłę.

I nimi Chrystus nie pogardza, ale dla nas to niełatwa praca, bo jak mu wytłumaczyć, żeby miła byłaby tylko jedna kobieta. Cierpliwości i modlitwy! Przetrywam, bo trzeba iść na modlitwę, a potem Msza św. i odjazd do drugiej kaplicy oddalonej o 15 km. To cieszy, że Pan dał mi łaskę rozdzielać Chleb Eucharystyczny po afrykańskim buszu.

21 października, sobota

Jestem na innej placówce misyjnej w Kiharo. Przeżyłem tu z Murzynami ten niezwykle poniedziałkowy wieczór, jaki dał Pan nam, Polakom. Zacząłem w poniedziałek zwozić kamienie na budowę sal katechetycznych. Jak zwykle skończyłem robotę i poszedłem się trochę pomodlić. Potem zjadłem kolację i zacząłem szukać wiadomości w radio. Gdzieś o godz. 19.00 wieczór „złapałem” Włochy i słyszę, że już się ukazał biały dym z pomieszczenia, gdzie wybierają Papieża. Zrozumiałem, że już mamy nowego Ojca św. Czekamy na imię. Siadamy na polu przed domem. Robotnicy pojedli i też czekają na wiadomości o nowym Papieżu. Księżyc nam przyświeca. Słucham wiadomości bezpośrednio nadawanych z Rzymu po francusku. Wreszcie słyszę „Habemus Papam” – mamy Papieża Karola Wojtyłę z Krakowa. Dopiero jak powtórzyli drugi raz zrozumiałem, że jednak Duch Święty poszukał w Polsce.

Do dziś nie mogę uwierzyć, że człowiek, który się urodził w Wadowicach, którego słuchałem, który mnie bierzmował, o którym moja Mama opowiadała (Ojciec i syn na Chrystusa Króla szli do Komunii św.), został Papieżem. Słyszę Jego wzruszony głos oznajmiający, że pochodzi z dalekiego kraju i że nie zna dobrze włoskiego, dlatego prosi, by go poprawiali, jak będzie się mylił w mowie włoskiej. Przez radio otrzymaliśmy Jego pierwsze błogosławieństwo.

Z tej radości wybrałem się na nogach do Mpingi z dwoma Murzynami. Przyszedłem na północ, by się pocieszyć z resztą braci. Naprawdę Pan Bóg dał nam dożyć wielkich czasów.

Najdrożsi. Spędziłem tu, w Kiharo, cały tydzień. Łączę pracę ręczną z apostołstwem. Chcę choć trochę być podobny do ich życia, niełatwego, bo „na grochu”. Jest nas dwóch. Ja i Murzyn, który gotuje. A więc na południe i na wieczór groch. Nie narzekam, bo groch lubię. Dziś, to jest w sobotę, mam trochę więcej wolnego czasu, bo robotnicy nie pracują. Rano, podczas Mszy św. ochrzciłem dwoje małych dzieci. Potem spowiedź św. Przed południem poszedłem do rzeki robić pranie. Po południu trochę się przechadzałem, zamiatam podwórko.

Ludzie schodzą się na nabożeństwo różańcowe. Po różańcu przewożę samochodem dzieci. Następnie trzeba podgrzać groch, zjeść kolację i pomodlić się na brewiarzu.

W ubiegłą niedzielę modliłem się z Murzynami o dobry wybór Papieża – jutro będę czynił dziękczynienie i wspominał we Mszy św. Jana Pawła II z Wadowic. Jeszcze nie wierzę.

Zostańcie z Bogiem

„z pustyni i z puszczy”
syn i brat Jaśko

Bujumbura, 26 października

Zbliżam się powoli z moim listem do Was. Jestem z O. Nazariuszem w stolicy. Robimy zakupy budowlane. Wszędzie nam gratulują wyboru Polaka na Ojca św. Dostałem wiadomości od O. Teofila, że był u Was. Muszę kończyć, bo wracam do domu. Pozdrawiam wszystkich. Acha – kiedy Ela przyjedzie na misje? Napiszcie, bo już rok mija, a ja listu nie mam od Was. Może wyślijcie przez inną pocztę np. z Bielska. Ten list posyłam do O. Teofila, a On prześle do Was.

Z Bogiem

O. Bartłomiej

List O. Eliasza Trybały z Nowicjatu w Mpinga:

Nowicjat św. Józefa

Mpinga, 29 grudnia 1978

Drogi Ojciec!

Niedawno, bo 17 grudnia 1978 r. przeżyliśmy podniosłą uroczystość w naszej parafii. Nasz Ojciec Prowincjał dokonał obłóczyn naszego Czarnego Brata. Długo czekaliśmy na pozwolenie z Rzymu na założenie Nowicjatu OO. Karmelitów w Burundi. Aż wreszcie sam N. Ojciec Prowincjał przyjechał przywdziać w habit zakonny pierwszego Burundyjczyka, brata Cyryla od Dzieciątka Jezus. Sam brat Cyryl, jak i ludzie, nie wiedzieli jak wyglądają obłóczyny. Ale gdy zapowiedzieliśmy w Kościele, że w przyszłą niedzielę brat Cyryl rozpocznie nowicjat, zainteresowanie w parafii wzrosło, często pytali, co to takiego będzie w niedzielę. Nawet nasze Czarne Siostry Bene- Teresyja nie dowierzały, że tu w Mpinga będzie Nowicjat.

Obłóczyny zapowiedzieliśmy na godz. 14.30, a więc po Mszach św. Obawialiśmy się, że niewielu przyjdzie na obłóczyny, ale byliśmy mile zaskoczeni, gdy zobaczyliśmy kościół wypełniony młodzieżą, dziećmi i dorosłymi. Nasz chór kościelny przygotował pieśni religijne. Uroczystość rozpoczęła się z małym (10 minutowym) opóźnieniem, bo czekaliśmy na Ojców i Siostry z Musongati. Gdy już wszyscy byli na miejscu, rozpoczęła się procesja z pieśnią. Za krzyżem szedł chór kościelny, potem Siostry Karmelitanki w białych płaszczach i Siostry Bene-Teresyja z Mpingi i z Kiguhu. Za nimi szli Ojcowie, potem O. Eliasza z

postulantem, a na końcu N. O. Prowincjał w białym płaszczu i stule. W kościele przy wejściu było trochę zamieszania, bo dzieci i starsi chcieli zająć najwygodniejsze miejsca w ławkach. Dla Sióstr i Ojców były przygotowane ławki, nie trzeba więc było bić się o miejsce, a raczej trzeba było zachęcać jak w Ewangelii: „przyjacielu posiadź się wyżej” (trzeba było przejść kilka stopni). Gdy wszyscy zajęli swoje miejsca, można było rozpocząć ceremonie obłóczyn. Ja, jako Magister Nowicjatu towarzyszyłem naszemu kandydatowi – bratu Cyrylowi, żeby mu czasem szepnąć, co ma teraz robić. Obeszło się bez podpowiadania, bo brat Cyryl dokładnie przygotował ceremonie i odpowiedzi, choć mu tylko raz tłumaczyłem. On lepiej ode mnie pamiętał, jakie ceremonie następują, ja musiałem raczej zaglądać do książki. Na pytanie O. Prowincjała „O co prosisz?” – brat Cyryl spokojnie i wyraźnie odpowiedział: „Proszę o miłosierdzie Boże i towarzystwo braci”. N. O. Prowincjał mniej pewnie mówił, bo teksty były w kirundi. Większość tekstów była w języku łacińskim i tu N. O. Prowincjał czuł się pewnie i donośnym głosem śpiewał modlitwy. Ja musiałem to wszystko tłumaczyć na kirundi. Piękne kazanie o Bożym powołaniu człowieka wygłosił O. Teofil.

Dotąd wszyscy w kościele zachowali się grzecznie, ale gdy brat Cyryl przywdział habit, słuchać było przyciszone rozmowy – komentarze, a gdy założono bratu Cyrylowi kaptur na głowę słyszał się wyraźne oznaki zdziwienia „Jooo”. Potem znowu nastąpił spokój w kościele i śpiew „Veni Creator” w kirundi zagłuszył inne komentarze dzieci. Znowu powstaje małe poruszenie w kościele przy uścisku braterskim, na „Ecce quam bonum” brat Cyryl uściśnął także najbliższą rodzinę: matkę, braci i siostrę.

Baliśmy się, że br. Cyryl będzie się przewracał na schodach w nowym habicie, ale obeszło się bez dodatkowych atrakcji. Po skończonych ceremoniach wyszliśmy procesjonalnie przez kościół. Tu młodzież przygotowała śpiewy i tańce. W czasie występu, program zapowiadał i komentował br. Patryk (drugi kandydat), którego nazwaliśmy „Kydryńskim”, bo tak wspaniale prowadził program rozrywkowy.

Po tańcach były przemowy. Przemówił N. O. Prowincjał, br. Cyryl i proboszcz parafii czyli ja. Brat Cyryl dziękował licznie zebranych za udział w dzisiejszym święcie, dziękował N. O. Prowincjałowi za zaszczyt wprowadzenia go do rodziny karmelitańskiej, swej matce za chrześcijańskie wychowanie. Na koniec prosił wszystkich o modlitwę. Wyraził życzenie, żeby i inni poszli jego śladami i wstąpili do Karmelu. Podziwialiśmy jego odwagę i swobodę, z jaką przemawiał do wszystkich. W ogóle Burundyjczycy umieją przemawiać i to do rzeczy (nie zawsze). Potem nastąpiła zasadnicza część programu, to znaczy picie piwa. Na znak jedności trzeba było wypić z jego rodziną piwo ze wspólnego dzbana, który stał na środku Sali. Nawet N. O. Prowincjał coś wypił, choć z oporami.

Całą uroczystość filmował O. Bronisław, Sekretarz Misji. Ciekawi jesteśmy, co mu z tego wyszło.

Przy piwie znowu były przemowy, podziękowania i życzenia. Ja właściwie nie przemawiałem, ale tłumaczyłem słowa N. O. Prowincjała. To moje tłumaczenie na kirundi to właściwie nowe przemówienie, bo nie mogłem wszystkiego spamiętać, co mówił N. O. Prowincjał, musiałem od siebie coś dodawać, żeby czas przemowy O. Prowincjała równał się w czasie tłumaczenia. Często dawałem znak N. O. Prowincjałowi, żeby nie zapędział się w swoim pięknym przemówieniu, bo ja nie mogę naraz wszystkiego zapamiętać, a potem zmuszony jestem do improwizacji.

Gdy przebrnęliśmy przez przemówienia, poszliśmy do ogrodu zrobić pamiątkowe zdjęcia. Co było krzyku przy ustawianiu i przestawianiu obiektów do fotografowania, to trudno wypowiedzieć i opisać. Dopiero przy stole z ciastkami z Musongati nastął względny spokój.

Na zakończenie dzisiejszych uroczystości, gdy goście już poszli do domu, nasz zespół gitarzystów z Musongati umilił nam wieczór piosenką z gitarą.

Drogi Ojcze! Przepraszam, że tak podniosłe ceremonie obłóczyn opisałem w tak niepoważnym i lekkim tonie. W sam dzień obłóczyn byliśmy bardzo poważni i naprawdę głęboko, po Bożemu przeżyliśmy obłóczyny naszego brata Cyryla. Wspominaliśmy nasze własne obłóczyny sprzed 15 czy 20 lat w Czernej. Nawet ja się wzruszyłem, choć nie przychodzi mi to łatwo.

Proszę Braci o modlitwy za biednego Magistra Nowicjatu w Mpinga i za tych, którzy ma wychowywać braci na prawdziwych Karmelitów w Burundi.

Oddany w Panu

O. Eliaz k. b.

List O. Teofila Kapusty:

Mpinga, 2 stycznia 1979

+ Drodzy Przyjaciele!

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”

Minął już miesiąc od mojego powrotu (1.12.1978) do Burundi. Jak wiecie, były obawy o to, jak zostaną przyjęty. Tymczasem nie było żadnych trudności na granicy, a w naszych parafiach wzruszająca radość naszych ludzi.

Jestem w Burundi... Wciąż jeszcze powitalne ukłony palm nakładają się na smukłe sylwetki polskich brzoź; wzruszające powitań serdeczności na pożegnań smętki; skąpe w kwiatach i zieleni uroki naszych gór, na Wawelu, Poznania, Warszawy, Zakopanego czy choćby Wadowic urocze zakątki; troski tutejszego młodego Kościoła, na radość z wyboru papieża Jana Pawła II...

Chyba jednak za długo byłem w Polsce i pewnie dlatego tak ostro widzę kontrast między tym, co tam było, a tym, co tu jest. Pewnie ostrość widzenia spotęgowały jeszcze bardziej te kilka dni spędzone w Brukseli. Tam np. widziało się sklepy pełne różnych potrawek dla psów, tu widzi się dzieci, nie mające już siły, by rękę wyciągnąć po odrobinę manioku (zagłodzenie, kwashiorkor). Tam w sklepach zatroskane mamy, bo „co wybrać na Mikołaja lub Gwiazdkę z wystawnych obfitości podarków?”, tu nagość ledwie strzępem łachmanów pokryta. Tam przytłaczająca ogromem pusta Bazylika Jezusowego Serca, to skromne, rozpadające się często, lecz na szczęście przepełnione kaplice...

Kontrast dwu światów... Widziany tym bardziej, że podróż powitalną po stacji naszych parafii odbywałem w towarzystwie naszych Gości: N. O. Prowincjała, Eugeniusza Morawskiego i Sekretarza Prowincjalnego Misji, O. Bronisława Tarki. Oni po raz pierwszy oglądali nędzę Trzeciego Świata w specjalnej oprawie jednego z trzech najbiedniejszych

krajów świata, nędzę, której nie potrafiła przysłonić barwna obecnie szata tutejszej flory. Rzeczywiście, bujna już zieleń przystroiła się wszystkimi barwami kwiatów. Od października pora deszczowa. „Za dużo deszczu w tym roku, znów nie będzie fasoli” – skarżą się ludzie przy powitaniach. Słucham, oglądam i wciąż jakoś przyjść do siebie nie mogę. Przecież już nie pierwszy raz stanąłem na Czarnym Łądzie, w Burundi, a jednak jakoś specjalnie mocno „przeskok” odczuwam...

Dzisiaj, po odjeździe naszych Gości, zabieram się do listów. Zastałem ich wiele. Nowe nadeszły na Święta. Serdeczne, życzliwe, ze wszystkich zakątków świata przynoszące radość z Rodaka na Piotrowej Stolicy. Z jakąż radością odczytywałem Wasze myśli wyrażające przekonanie, że my Polacy, rozproszeni po całym świecie, musimy być Jego ambasadorami, że winniśmy włączyć się skuteczniej w posłannictwo Kościoła, bo przecież nie tylko na Niego patrzy dziś świat, patrzy na wszystkich Jego Rodaków. Ta świadomość powinna ożywić także nasze zaangażowanie w działalność misyjną Kościoła. Czyż sam Jan Paweł II nie liczy tak bardzo na nas?...

Wspaniałe są Wasze listy i godne, by na każdy odpisać osobno. Niestety, znów musicie zadowolić się listem wspólnym, bo inaczej musielibyście zbyt długo czekać. Już przestałem wierzyć, że minie wir zagonienia.

Kochani! Za wszystkie listy serdecznie dziękuję. Bóg zapłać za Wasze dobre życzenia, za modlitwy, za przesłane na potrzeby misji ofiary. Jakże one bezcenne, zwłaszcza teraz, gdy ceny w szalonym tempie idą w górę, a tu tyle do zrobienia!

W czasie mojej nieobecności zbudowano dom dla sióstr Bene – Terezyja i szkołę gospodarczą na stacji misyjnej w Kigu. Teraz buduje się katechumenat na stacji w Kiharo oraz Ośrodek Zdrowia w Musongati. Budowę utrudnia ciągły brak cementu. Mimo wszystko, część Ośrodka Zdrowia, dzięki zabiegom Brata Marcelego, już pod dachem. W Mpinga wstrzymano budowę Domu Rekolekcyjnego. Brak cementu i brak grosza. Skorzystał z tej sytuacji nasz główny budowniczy w Mpinga (O. Sylwan Zieliński), by w ramach odpoczynku wziąć udział w zorganizowanym na Górze Karmel kursie duchowości karmelitańskiej. Mam nadzieję, że do jego powrotu uzbiera się trochę grosza i zdobędzie materiały budowlane, by ruszyć na całego z budową. W Musongati trzeba podjąć budowę drugiej części katechumenatu, bo szopy, w których uczą się katechumeni, będzie trzeba rozebrać, aby uzyskać teren pod drugą część Ośrodka Zdrowia. To plany w dziedzinie budowy na najbliższą przyszłość. Może jeszcze będzie je trzeba zmienić, w zależności od nasuwających się potrzeb i możliwości. W każdym razie Wasze ofiary będą służyć rozbudowie i rozwojowi dzieł dla dobra tutejszych ludzi. Wiele z ofiar – jak przysłowiowa woda – „przecieka przez palce”, bo wciąż otacza nas rzesza ludzi głodnych, nagich, chorych. Nie mamy więc sumienia, by zatrzymywać grosz na budowę, chyba, że wyraźnie na nią był przeznaczony. Cóż, tak trzeba, choć nieraz grozi nam pokusa, by zostawić po sobie widoczny ślad w postaci budowli. Po groszu rozdany ubogim nie zostaje widoczny ślad, ale nie zapominamy, że człowiek „uratowany”, choć zginie w tłumie, pojawi się kiedyś, by zaświadczyć: „Byłem głodny, nagi, chory...” – a przyszlście mi z pomocą...

W tym światowym Roku Dziecka – chcemy w imię Dziecka z Betlejemskiej Stajenki zwrócić szczególną uwagę na dzieci żyjące u nas w wielkiej nędzy duchowej i materialnej. Ufam, że będziecie z nami i nasze pragnienia wesprzecie.

Muszę jeszcze podzielić się z Wami naszą radością. Wizyta N. O. Prowincjała podniosła nas na duchu. Przybył On do nas, delegowany przez O. Generała Zakonu, by założyć Nowicjat w naszym domu w Mpinga. Dnia 17 grudnia 1978 nasz postulante Cyryl Barutwanayo rozpoczął swój nowicjat. Drugi kandydat, Patrycjusz Ndikumana odbywa postulat. Obydwaj chcą zostać Braćmi w naszej Rodzinie Zakonnej. Wielka to radość dla naszej Wspólnoty. Spodziewamy się, że po przejściu odpowiedniej formacji nasi Czarni Bracia pomogą nam wydatnie w pracy duszpasterskiej jako katechiści. Naszego nowicjusza Br. Cyryla od Dzieciątka Jezus i naszego postulanta polecamy Waszym gorącym modlitwom.

O naszej radości z obecności naszych miłych Gości przy wigilijnym stole nie mam potrzeby Wam pisać. Zapewniam tylko, że pamiętaliśmy o Was wszystkich przy łamaniu się opłatkiem i w czasie Pasterki o północy. Nasi wierni wypełnili Kościół w Mpinga, mimo, że noc była bezksiężycowa i mimo, że od godziny 23.00 padał deszcz. Sądzę, że to była nie lada radość i nie lada przeżycie dla N. O. Prowincjała i O. Bronisława. Moja radość także była wielka, bo i na Mszach św. w ciągu dnia kościół był przepelniony. Niektórzy z wiernych przyszli z odległości 20 – 30 km, a nawet i więcej.

Już jednak po Świętach, już rozpoczęliśmy egzaminy katechumenów. Ruch przy katechumenacie i na misji duży.

Bardzo przepraszam, że ten list taki nijaki. Ufam, że następny będzie lepszy.

Jeszcze raz, Drodzy Przyjaciele, pozdrawiam Was wszystkich i z całego serca szczęśliwego Nowego Roku życzę! O Wszystkie potrzebne Wam łaski prosić będziemy Boga w naszych modlitwach i we Mszach św., które za Was ofiarujemy w każdą sobotę i w każdą niedzielę całego Roku.

Boża Matka niech nas wszystkich otacza Swą macierzyńską opieką!

Szczerze wdzięczny i oddany w Jezusie i Maryi

O. Teofil OCD

O. Teofil Kapusta
D. Sp. 119 Bujumbura
MPINGA
BURUNDI – Afrique

